Nr. 5 (1049). Warszawa, dnia 20 Stycznia (2 Lutego) 1901 r. Rok XXI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 60, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 4 do 6 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Królowa Wiktorya.

Straszna dla młodych, litościwa dla starych, śmierć zabrała ze świata monarchinię angielską — w 64-ym roku panowania. Zmarła, wstąpiwszy d. 20 czerwca 1837 r. na tron Anglii jako młoda dzieweczka, córka hr. Kent a synowica króla Wilhelma IV, zamknęła powieki d. 22 stycznia r. b. jako sędziwa a czcigodna, nietylko już królowa angielska, ale i cesarzowa Indyj. Ten tytuł sam już mówi za tę epokę, którą granice życia nieboszczki na tronie odcinają. Sześćdziesięcioletni jubileusz królowej w r. 1897 był jubileuszem całej Anglii — pierwszy tonął w drugim; więcej niż królowę czcił Anglik wówczas własną swą wielkość. Odtrącając na arystokratyczny sport to, co przechodziło właściwą miarę, spostrzeże się trzeźwy rozsądek angielski, z trzeźwiejszym jeszcze egoizmem zbratany a umiejący oddzielać zasługi polityczne, powołanie, rolę dziejową, czyny króla konstytucyjnego w Anglii, od przymiotów osobistych kobiety, która kobiecość przez długie lata utrzymywała na wyżynie wskazywanej nie przez zdawkową tylko moralność. I to jest główne jej godło. Nieprzygotowana i nieuzdolniona do samodzielnych rządów, pozbawiona tego temperamentu, którym człowiek żyje w historyi nie przez zewnętrzne stanowisko swoje, ale przez wewnętrzną swą siłę, zmarła królowa wniosła do polityki dobre przymioty swej czystej, uczuciowej, ale i rozsądnej, nieporywającej się nad siły, zawsze do równowagi zdolnej kobiecości. Polityka te przymioty urobiła w takt, doświadczenie stopniowo urabiało takt w roztropność, coś jakby początek mądrości. Ten takt i ta roztropność były całym własnym programatem politycznym królowej Wiktoryi. Dopóki żył jej mąż, gorąco kochany, dwór, który w sobie streszczała, miewał swoje własne przekonania i dążenia materyalnie już polityczne; od jego śmierci (1861) pojmował swą rolę tylko jako rozjemcy między stronnictwami i doręczyciela pieczęci nowemu prezesowi gabinetu po ustąpieniu dawnego. To poprzestawanie na małem najlepiej świadczy o charakterze nieboszczki.

Za panowania Wiktoryi I Anglia stała się wielką, jak nigdy przedtem, i ta wielkość wskutek samej współczesności przywiązaną już będzie do imienia zmarłej. Na dwieście tysięcy mil kwadratowych geograficznych i jakie sto milionów nowych poddanych czy obywateli, oceniać potrzeba ten ogromny statystyczny już tylko przyrost w ciągu 63 lat ubiegłych od r. 1837. Przez ten czas Anglicy z dawnych posiadłości kompanii wschodnio-indyjskiej zorganizowali wielkie cesarstwo, jeszcze nie jednolite, jeszcze państewkami miejscowemi, pod zbrojnym dyplomatycznym protektoratem zostającemi, gęsto usiane, ale już wyrobione tak, że tylko wielkie narodowe ocknienie się przy zewnętrznych bodźcach mogłoby je zwalić. Przez ten czas zajął Anglik za Gangesem Birmanię na swą już niepowrotną własność, przed Indem opanował terytoryalnie Beludżystan, politycznie, choć nie bez współzawodnictwa, Afganistan; na północy zabrał część Pamiru, Kaszmir, Nepaul — do Tybetu sięgnął. W r. 1841 zaczął się sadowić w Chinach; zyskał Hong-Kong i kilka nowych portów, utracił monopol wpływów w Pekinie, ale ostatnie lata dały mu nową zdobycz.

W Ameryce pozbyła się Anglia powstań kanadyjskich, po ostatniem, niemal w roku wstąpienia na tron córki hr. Kent. W Europie na Wschodzie przez długie lata trzymała oko i dłoń na niedołężnej władzy i upadłej potędze sułtanów, z zazdrością, która dwukrotnie, w r. 1854 i 1878 wybuchała raz w wojnie o całość Turcyi, drugi raz w pokoju ograniczającym zdobycze oręża. Pozbycie się wysp Jońskich lub Helgolandu było czynem dobrowolnym a nie przyniosło żadnego zgoła uszczuplenia terytoryalnego. Przez całe to panowanie Anglia ciągle tylko wzrastała. Pod jej opieką, dzięki jej prawodawstwu i potędze, nie podcinanej żadną od r. 1815 katastrofą europejską, na lądzie australskim osady zbrodniarzy zmieniły się wraz z Nową Zelandyą w kwitnące kolonie, a ich pomoc nieobojętną była w tej wojnie, którą wiek XIX-ty przekazał XX-mu w Afryce. W tej właśnie części świata rozrost był największy. Anglia, która w r. 1837 miała tylko Przylądek, Sierra Leone i stanowiska na pobrzeżu Gwinei północno-zachodniej, w 1900 była już panią całej prawie wschodniej połowy wielkiego kontynentu od Aleksandryi do Lourenço-Marquez i całego południa nad Przylądkiem aż do Limpopo. Tylko Niemcy robią i tu i tam szczerby: przyszłość też przyniesie wielką wojnę kolonialną niemiecko-angielską. Nikt nie zarobił tyle na przedsiębiorstwie afrykańskiem, ile Anglia; kolej od Aleksandryi do Capetownu — za dziesięć lat już przerznie zagrabione terytorya. Pomijamy drobniejsze zdobycze w Oceanii i w Ameryce, ku biegunowi i w Antyllach.

Obliczyli dziennikarze angielscy, że za panowania zmarłej królowej Anglia stoczyła 110 wojen, które kosztowały 29 miliardów funtów; nie obliczyli, ile pogwałciła praw, wyrządziła krzywd, wytoczyła krwi, wycisnęła jęków i łez. Takiego napięcia zdobywczego Anglik nie miał nigdy w swych dziejach: jakby nową odczuł w sobie psyche; cały też proces psychologiczny przejść musiał, aby się ujrzeć na tym szczycie mocarstwowej potęgi, na którym dziś stoi. Musiało w nim zamrzeć niejedno stare przywiązanie, niejeden ideał i wiara i żyjąca wiarą dążność. Pozmieniały się i sympatye i przekonania, urobiła się zwolna nowa umysłowość polityczno-społeczna. Przy organiczności życia, które samo jedno tylko drwić może bezkarnie z wszelkich gabinetowych mechanizmów, wielkie rozpostarcie się na zewnątrz nie mogło nie odbić się na rozwoju wewnętrznym. Państwo, wzrastając w siłę zbrojną, stopniowo przechodzi od milicyi i wojska ochotniczego do armii stałej, wielkości i obowiązkom samozachowawczym odpowiadającej, i potrzeba tylko wielkiej wojny w Europie, Azyi czy Afryce, aby Anglia cywilizacyjna, przemysłowo-kupiecka, kolonialna, stała się mocarstwem rzeczywiście militarnem.

Militaryzm dziś już uśmiecha się ministrom, zacznie się uśmiechać i przewodnikom opinii — i nawet poetom, a ci przecież nie wloką się jak ciury dopiero za wszystkimi. Samo fatum, żądza odśrodkowa, grożąca rozpadnięciem się całości na części, sprowadzi militaryzm. Pod działaniem własnych bodźców i pod wpływem ogólnego rozwoju instytucyj politycznych w świecie dziwnie przetworzyły się już stronnictwa w Anglii. Unionizm, wytoczony przeciwko Gladstone'owi o Irlandyę, zmiata powoli i zachowawców i liberalnych historycznego stempla; za kilkanaście lat trzeba będzie dzieciom tłomaczyć, co byli *tories*, a co byli *whigs*. Przetworzyły się też i pojęcia o stosunku jednostki do centralnego porządku. Anglia u siebie, na swym macierzystym gruncie coraz bardziej się centralizuje i upaństwawia. Indywiduum wchodzi w kaftan, w klatkę i nie czuje na sobie ani kaftana, ani klatki. Wróżyć można temu narodowi, że wbrew przewidywaniom potocznym wzmocni u siebie władzę monarchiczną,ześrodkuje swoje porządki w państwie i wszystkie swe zapędy i rozpędy społeczne ujmie w karby praw państwowych. Wielkie mocarstwo do życia potrzebuje wielkiej siły, i chce ją też mieć we wszystkiem.

Tydzień polityczny. Król Edward VII — od półczwarta wieku nie było króla tego imienia — d. 23 z. m. złożył w radzie tajnej przysięgę na to, że będzie rządził konstytucyjnie. Rada tajna oznajmiła fakt ten narodowi i zaraz heroldowie proklamowali nowego monarchę. Kiedy wylądował w Coves, z powrotem do Osborne, „obłoki wiszące nad miastem rozproszyły się." Następca tronu, dotychczasowy ks. Yorku, został „księciem Kornwalii i Yorku"; na imię mu „Jerzy." W radzie dublińskiej 22 ojców miasta głosowało za zupełnem usunięciem się od narodowej żałości; 30 przeparło uczestnictwo. D. 26 z. m. Izby uchwaliły adres do króla z wyrażeniem współubolewania. Cesarz Wilhelm od 22-go z. m. w Anglii, został już feldmarszałkiem angielskim; nawzajem, zamianuje Edwarda VII admirałem niemieckim *a la suite*.

We Francyi nowy płomień. Gen. André usunął generała Geslina de Bourgogne, który jawnie głosił rokosz przeciwko rzeczypospolitej. Generałowie nacyonalistyczni zanieśli protestacyę, nawet Galliffeta w chórze nie zbrakło. Minister nakazał majora Cuigneta, owego politykującego oficera, który w grudniu wywołał był burzę w Izbie, przenieść z Mont Valérien do fortu Ivry. Roztrząsanie projektu prawa o stowarzyszeniach, a wraz z niemi i o kongregacyach d. 25 z. m. w drugiem czytaniu przepłynęło już przez rozprawy ogólne, 441 głosami przeciwko 98.

W Chinach na pokorną prośbę cesarza chińskiego o złagodzenie warunków traktatu w wiadomych punktach — i jeszcze w innych podrzędnych — przedstawiciele mocarstw odpowiedzieli, że przedewszystkiem Chiny muszą stracić czterech zbrodniarzy. Bezwzględnie domagają się takiego zadośćuczynienia Niemcy, Anglia i Francya; Rosya, Ameryka i Japonia przemawiają za łagodnością. Odbija od niej srogość dyplomacyi niemieckiej i bezmyślnie za nią idącej francuskiej. Nawet zmarli mają być wieszani. Los ten spotka Kangyi'ego. Tuh-fu-siang, schwytany, pójdzie pod miecz lub na stryczek, tego chce sprawiedliwość niemiecka. W całej prawie Czyli niema już ani jednego boksera: ani nawet wojska, ale zarówno Niemcy jak Anglicy robią ciągłe wyprawy.

Petersburg, 27 stycznia. (Komunikat urzędowy). Generał Czyczagow otrzymał zawiadomienie, iż w odległości 40 wiorst od Ningutu zjawiła się banda Chunchuzów, złożona z 200 ludzi; posłał więc w celu ich rozproszenia pułkownika Alichanowa z oddziałem, złożonym z sociny pułku arguńskiego, dwóch rot oddziału ochotniczego drugiego pułku strzelców i dwóch dział górskiej artyleryi konnej. Oddział ochotniczy wsadzono na konie obozowe pułku argańskiego, poczem jednocześnie z pierwszą sociną oddział ten doścignął Chunchuzów w odległości 60 wiorst od Ninguty, jednej z dolin górskich. Broniąc się, Chunchuzi walczyli do samego południa. Po ustaniu ognia artyleryjskiego oddział Alichanowa poszedł do ataku i po krótkiej bitwie ręcznej położył trupem wszystkich Chunchuzów. Między zabitymi znaleziono chunchuza Wan-Szan-Tina, który teroryzował spokojnych mieszkańców okręgu ningutyńskiego. Ze strony rosyjskiej poległo trzech strzelców i artylerzysta.

Przedlitawii jeszcze przed wybuchem z d. 31 z. m.— otwarcie Rady państwa— groziło przesilenie ministeryalne. Pp. Piętak galicyjski i Rezek czeski chcieli się podać do dymisyi z powodu ustępu mowy tronowej, przyznającego językowi niemieckiemu przewodnie stanowisko wśród innych w monarchii. Jednocześnie p. Antoni Wodzicki był na kilkodniowych odwiedzinach u następcy tronu austro-węgierskiego, Franciszka Ferdynanda: zaraz rozeszły się pogłoski o wejściu jego na miejsce profesora lwowskiego. Przesilenie tymczasem zażegnane, kandydatura upada. P. Koerber zrzekł się swego przyznania. W Galicyi prąd panujący wyraża się w zalecanej przez p. Dawida Abrahamowicza polityce wolnej, tj. na łapówki niemieckie otwartej, ręki. Nikt nie sięga po ciernisty zaszczyt przodowania w Izbie; zgadzał się iść na ofiarę hr. Attems, ale na Attemsa nie zgadza się Koło polskie; najlepszym byłby dlań Fuchs; własnego prezydenta nie chce, choć mu go uroczyście ofiarował Koerber.

Boerowie w pobliżu Fonteinstremu zabrali cały pociąg wojskowy i wysadzili w powietrze most.

Depesza z Rzymu donosi, że d. 22 z. m. poseł rosyjski Czarykow miał posłuchanie u papieża. Papież wydał encyklikę o demokracyi chrześciańskiej, wielką wróżąc jej przyszłość, gdyż socyalizm, od którego różną jest demokracya socyalna, ma w sobie nietylko czynniki i żywioły ekonomiczne, ale także i moralne i religijne, a te już prowadzą prosto do demokracyi chrześciańskiej": taka jest teza, poparta Ewangelią i naukami św. Franciszka Serafickiego i św. Wincentego a Paulo.

W Bulgaryi przesilenie gabinetowe. Książę nie przyjął prezesa gabinetu, Iwanczowa; ten podał się do dymisyi wraz z kolegami i ma już następcę w Petrowie, któremu dopomaga Tonczew. Zatarg Bulgaryi z Rumunią o spiski skrytobójcze, nawet na życie samego króla Karola I, wszedł w okres zawiadomień dyplomatycznych o możliwem zerwaniu stosunków. Rzeczywiście, patronat rządu bułgarskiego nad spiskami i zamachami bułgarskimi w Bukareszcie jest tak jasny, że rząd rumuński ma sprawę niezmiernie łatwą, jeśliby chciał tylko Europę przekonać o prawdzie. Co innego z zerwaniem: temu mogą wielkie mocarstwa zapobiedz. Król Aleksander chce na zawsze wzbronić ojcu powrotu do Serbii. Gdyby się nie doczekał potomka męzkiego, przekazałby tron książętom czarnogórskim. Byłoby to ponętne, ale nie dla Bulgarów, i może nie dla samych Czarnogórców, którzyby mogli się lękać o swą indywidualność, od serbskiej różną; od anneksyi Czarnogórza do Serbii, woleliby anneksyę Serbii do Czarnogórza. Zresztą dla nich przeznaczona jest kiedyś Hercegowina, a może i Bośnia. Gdy je mieć będą, wtedy — pogadają z Serbami.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

POBUDKI PRYWATNE

W SPRAWACH PUBLICZNYCH.

Wszelkie instytucye społeczne i ekonomiczne ogniskują w sobie ważne sprawy życia bieżącego, regulują je i ułatwiają bieg normalny. Są

MIECZYSŁAW LIMANOWSKI.

DARLINGTONIE.

Na dworze przestał deszcz padać. Błękitny rąbek nieba snuł się tuż po nad widnokręgiem, ciężkiem, ołowianem niebem przygnieciony.

Bachlida siedział wsparty na łokciach i myślał. Może męczyły go wątpliwości, może oczekiwanie? To pewne, że w chwilach, gdy wymawiał słowo: Darlingtonie, po twarzy marzycielskiej przebiegały odruchy błyskawiczne, w których coś było z lęku i z nienawiści.

Z tem słowem była związana treść jego duszy, treść, co była nie od wczoraj zmorą i co nie od wczoraj go trapiła.

. . . .

Ach, to bagnisko, tam w górach kalifornijskich!

Przypomina sobie Bachlida ten dziwny świat. Wie, że nic cudniejszego nigdy nie widział.

Takie życie. Taka orgia życia!

Jakby zebrano z całego świata barwy i odpowiednie tony, jakby potem dodano wszelakie możliwe zapachy i linie, jakby potem wszystko spleciono w jedną całość, w jedną istność, w jedno życie.

Coś cudnego...

Najpierw niebo zupełnie przezroczyste i jasne, a na ziemi kwiaty albo krwiste jak maki, albo żółto-pręgowane w liliowe tony, jak orchidee, albo nawet rudawe w kształcie dzwonów lub pucharów.

A w tem wszystkiem całe roje stworzeń. Miliony i miliony dzwoniące i szemrzące subtelnie. Trzmiele, co lecą prosto, jakby po liniach niewidomych od kwiatu do kwiatu; motyle, co bujają swobodnie, i ważki, co jak strzały pomykają niby bez celu, a zalotnie wciąż krążą w zygzakach i wzlatują.

Bachlida stał nad wodą. Oczyma pił jaskrawe plamy kwiatów, uchem ścigał dzwoniące cykady, a odczuwał to życie w bagnisku tętniące, tę orgię życia, całą swą istotę. Odczuwał ją i wchłaniał. Odurzał się narkotykiem kwiatów i wonią rozpylonego miodu. Wprawdzie był jeden zgrzyt, rozdźwięk jeden. Ot czasem, gdy wiatr szemrał, zalatywała ku niemu woń inna, odrębna, nie miodowa... Ale Bachlida zmysłom nie wierzył.

Było cudnie. Powietrze, przesycone wskroś ciepłem i światłem, otulało wodę bagniska, szklącą się odblaskami słońca, które rzucało zimne cienie po za trawy i sitowia. Jedna z ważek, panien wodnych, mieniąca się stalowo, kołysała się lekko w powietrzu, trzepocząc skrzydełkami i przenosiła się z łodygi na łodygę, po nad wodą, ku kwiatom... Trzepocząc, siadała nad brzegiem. Ale po chwili zerwała się i pomknęła dalej. Jakby ją kto gonił, znikła, a tylko kołysał się jeszcze liść, na którym przed chwilą siedziała. Dziwny liść! Jakby zielony, skręcony potwór, dławiący się ogonem rybim. Jakby wąż-okularnik nagle skamieniały w tańcu, z wywieszonym językiem, na którym znać było jeszcze ślady krwi i miodu wypitego. Dziwny liść! Kołysał się jeszcze. I wtedy przyleciała cudna mucha - bujanka i na nim usiadła. Na języku lepkim, zwieszającym się i rozłupanym, co się kołysał. Zielonym tonem metalicznym grały jej skrzydełka, a czasem opalowo. Jakby wspaniałe, kosztowne kamienie w słońcu. Siadła na języku lepkim liścia i, stuliwszy skrzydełka, jęła powoli nektar spijać, posuwając się wzdłuż krwistej pręgi. Miód ssała, całą siłą i całą mocą, miód-życie. Pręgą się posuwała, pręgą krwistą, miodową.

to zadania doniosłe, o których wykonawcy powinni pamiętać, a więc i nie zapominać o tem, że instytucye publiczne służą wyłącznie interesom publicznym, że nie mogą tam mieć wstępu sprawy prywatne, chociażby pod grubą osłoną. Kto obejmuje ster takiej instytucyi, bierze na siebie nadzwyczaj wielką odpowiedzialność wobec społeczeństwa; powinien więc zawczasu obliczyć swe siły i kwalifikacye; powinien być czujniejszym, niż maszynista na parowozie podczas ciemnej nocy, bo jedno mgnienie nieuwagi może pociągnąć za sobą następstwa bardzo smutne.

Czy o tych doniosłych zadaniach zawsze pamiętają sternicy i współpracownicy takich instytucyj i czy starannie oni odróżniają sprawy publiczne od prywatnych? Nu stety, nie możemy na to pytanie odpowiedzieć twierdząco. Od kilku lat mamy sposobność dostrzegać takie grzechy mniejsze lub większe i przekonaliśmy się, że czasem sprawy prywatne są miną, która wybucha i rozsadza interesy publiczne. Przed paru laty już prawie się zorganizowała u nas spółka rybacka, która miała działać na szerokich podstawach ekonomicznych. Wszyscy zainteresowani zrozumieli doniosłość takiej organizacyi ekonomicznej i ożywieni najlepszemi chęciami, dążyli do urzeczywistnienia planu. Na nieszczęście po paru posiedzeniach zawrzały ambicye i wytworzyły minę, która nagle rozsadziła spółkę niedoszłą. Z dwóch odłamów miały się wytworzyć dwie spółki i skupić w sobie dwie grupy antagonistów z ich przywódcami. Powoli jednak oba te odłamy pokruszyły się na cząsteczki i znikły zupełnie z powierzchni życia społecznego.

Działo się to na Krakowskiem Przedmieściu w sali Muzeum przemysłu i rolnictwa. W tej samej sali przed paru dniami rozegrał się ostatni akt innej sprawy, w której mniej więcej podobne czynniki działały, z tą wszakże różnicą, że były one bardziej powikłane. Na jesieni r. z. w sekcyi rzemiosł i przemysłu drobnego wszczęły się niesnaski, które zmusiły do ustąpienia przewodniczącego. Na wzburzonej fali, po której przebiegała czasem sztucznie robiona piana antysemityzmu, pojawiły się trzy łódki, kierowane przez trzech sterników: pp. Gromkę, Pomińskiego i Puciatę. Nie wnikamy na razie w pobudki tych panów, podziwiamy tylko ich energię agitacyjną. Zdołali oni bowiem zgromadzić sporą rzeszę ludzi, stojących dotychczas po za obrębem sekcyi i skłonić ich do stworzenia zupełnie odrębnej sekcyi, *prawdziwej* rzemieślniczej. Tym razem więc rozterki natury w znacznym stopniu prywatnej, przybrały tło sprawy społecznej. Powiedziano, że dotychczasowa sekcya IV nie odpowiada potrzebom rzemiosł, gdyż skupiła takich ludzi, którzy nie mają nic wspólnego z rzemiosłem. Całe założenie było zupełnie niewłaściwe; tworzenie bowiem osobnego ogniska spraw rzemieślniczych, dlatego tylko, żeby się oddzielić od *drobnego przemysłu*, niema najmniejszej racyi i żadnego usprawiedliwienia. Takie wyodrębnianie spraw jest zwrotem ku średniowieczczyźnie. Rzemiosła, jeżeli się chcą skutecznie utrzymać w walce z przemożnym przemysłem wielkim, opartym na podstawach kapitalistycznych, powinny chwycić się tych samych co on środków, tj. tworzyć pracę zrzeszoną, która pozwoli wprowadzać udoskonalenia techniczne na wzór wielkofabrycznych. Pewne gałęzie rzemiosł, chociaż może nieuświadomione dostatecznie, dążą właśnie w tym kierunku; dzisiaj więc nie można stawiać słupów granicznych pomiędzy przemysłem drobnym a *czystem* rzemiosłem. Otóż z tego względu wszelkie plany i zabiegi około stworzenia *czystej* sekcyi rzemieślniczej nie mają racyi bytu.

Pogódźmy się jednak z tem dążeniem i miejmy dla niego cząstkę uznania z tego względu, że przybyła spora rzesza ludzi, licząca 200 osób, która przynajmniej w chwili zapału agitacyjnego postanowiła siłami wspólnemi pracować nad rozwojem swojej dziedziny społecznej i ekonomicznej. Ludzie ci, przez swoich pośredników, zwrócili się do zarządu Towarzystwa przemysłu i handlu z prośbą o upoważnienie do stworzenia nowej sekcyi. Myśl ta w zasadzie nie zgadzała się z programem i atrybucyami Towarzystwa, bo miało ono na swoje usprawiedliwienie — sekcyę IV, sprawom rzemiosł poświęconą. Ale należało działać otwarcie i stanowczo, a przedewszystkiem uszanować tę znaczną grupę ludzi spracowanych, którzy żądali przygarnięcia ich pod skrzydła instytucyi publicznej. Inaczej sobie postąpił zarząd. Do ostatniej chwili traktował ich wymijająco i oto skutkiem tego cała ta rzesza rzemieślników, zwołana przez inicyatorów na posiedzenie do sali Muzeum przemysłu i rolnictwa, dwukrotnie znalazła drzwi zamknięte. Zarząd miał na swoje usprawiedliwienie to, że organizatorowie wraz z kandydatami na członków nowej sekcyi działali bez jego upoważnienia i rozsyłali zaproszenia bez uprzedniego z nim porozumienia. Ale przecież zawiadomienia te były ogłoszone publicznie w gazetach, na parę dni przed oznaczonym terminem posiedzenia, więc zarząd mógł bardzo dobrze tą samą drogą wyjaśnić sprawę i odwołać zebranie do chwili porozumienia się z inicyatorami i wyłuszczenia im swoich postanowień. Zarząd jednak tego nie uczynił, naraził ludzi oderwanych od pracy na zawód i wywołał śród nich silne rozgoryczenie.

Zarząd powinien był działać otwarcie i stanowczo tem bardziej, że wiedział, kto stoi na czele „nowej sekcyi" i z jakich pobudek ona powstała. Rzesza ludzi, złożona z dwustu osób, zgromadzona i zwołana do gmachu Muzeum przemysłu i rolnictwa, była prostem narzędziem jednego człowieka, który w ten sposób chciał zaspokoić swoje osobiste ambicye i wypłynąć na widownię publiczną ze smutnego zapomnienia. Człowiekiem tym był p. Puciata. Swojem gwałtownem, niewłaściwem zachowaniem się, rzucaniem zarzewia antysemityzmu śród ludzi ślepo mu wierzących, doprowadził do bardzo przykrych zajść, którym jednak zarząd mógł odrazu zapobiedz, przyspieszając swoją stanowczą decyzyę. Chwiejne i wymijające stanowisko jego zrobiło to, że p. Puciata rzemieślników zgromadzonych użył za maczugę, z którą się rzucał na wszystkie strony, chcąc zaspokoić swoje drobniutkie ambicye. Stał się tedy krzyczący i kary godny fakt nadużycia sprawy publicznej dla celów prywatnych.

Zarząd widział to wszystko w ciągu całego przebiegu sprawy, trwającej prawie trzy miesiące. Mógł więc wcześniej ogłosić swoje motywy, niedopuszczające utworzenia nowej sekcyi, a bądź co bądź—uzasadnione. Tymczasem te motywy ogłoszono dopiero po wszystkich awanturach, d. 26 stycznia.

Następstwa oczywiście nie będą bardzo pożądane. Rzemieślnicy nasi wogóle niezbyt skłonni do pracy zrzeszonej i niezaprawieni do niej, obecnie zrażeni niefortunnym krokiem zarządu, za nic w świecie nie zapiszą się do sekcyi IV i pozostaną z tem przeświadczeniem, że instytucya publiczna, stojąca na straży interesów ekonomicznych wszystkich dziedzin, nie uwzględniła potrzeb i spraw rzemieślników. Ziarno raz zasiane zacznie kiełkować i rozrośnie się na szerokiej niwie. Rzemieślnicy będą sobie powtarzali: Nie warto pracować gromadnie, bo nam przeszkodzą. Idźmy, jak dotąd, luzem. Skutki tej wędrówki luzem aż nadto dobrze są znane. Rzemieślnicy nasi niejednokrotnie o-

---

Potem zeszła pod język, szukając miodu. Stanęła w ukrytej szparze—długiej i wązkiej. I nagle równowagę straciła. Jakby we wnętrze zwiniętego liścia wpadła... we wnętrze ciemne i cuchnące. Odezwał się bzyk, potem uderzenie głuche skrzydełkami. Potem ponowne uderzenia, bzyk krótki, jak to muchy czynią na szybach w mieszkaniach ludzkich... a potem długie, przeciągłe bzykania.

Bachlida widział wszystko, słyszał bzyk rozpaczliwy, ten bzyk długi i przeciągły i to beznadziejne bicie skrzydełkami w ściany. Oddzielony błotem, zbliżyć się nie mógł. Czekał... Wierzył, że bujanka wyjdzie z liścia i zagra znowu na słońcu opalizującemi skrzydełkami, że wyjdzie jako i weszła... Czekał i spoglądał niecierpliwie. A gdy na języku ukazała się mucha, nie posiadał się z radości. Tylko wzdrygną się nagle. To nie była owa cudna, owa o subtelnych tonach szmaragdu lub złota. To była inna mucha, płaskawa, wstrętnego koloru. Niezgrabnie wytoczyła się ze szczeliny pod językiem, wygrzała się nieco na słońcu, poczem ciężko jęła pełzać nazad i znikła... Wstrętna mucha, wstrętnego koloru, obydna.

I wtedy błyskawiczna myśl wstrząsnęła Bachlidą. Zrozumiał wszystko. Tak, to były Darlingtonie, o których kiedyś słyszał. Darlingtonie, co mają liście zwinięte w trąbkę, zamkniętą w górze kopułą naśladującą szybki jasne, co kryją sok, w którym owady gniją, zdradziecko przynęcone miodem języka, co potem trupi sok wysysają w siebie i tem żyją.

Wstrząsnęło nim coś gwałtownie, wzdrygnął się i jął uciekać...

. . . .

Nad ranem ciężko zasnął.

...Jest muchą-bujanką małą. Ma skrzydełka opalowe i leci w słońcu i miodu szuka. Z kwiatu na kwiat leci i gdzie może, pije... bez wytchnienia. Więc w kwiatach głębokich, żółtych jako potworne naparstnice, w koronkach bodziszków płaskowatych, w sinawych, żałobnie pręgowanych dzwonkach. Wszędzie pije i wszędzie się raduje, owiany, otulony pyłem świetlnym słońca. A jako on, tak i wszyscy. Z kwiatu na kwiat, ukochawszy życie i dzwoniąc radośnie. Oto siadł na złotym jaskrze, wypił trochę miodu, a teraz leci po nad wodą. Leci ku tym krwisto-zielonym liściom, co są zwinięte a mają języki pełne miodu, jak kwiaty. Siada i ssie... posuwa się coraz wolniej. Schodzi pod język... Widzi szparę wązką, szczelinę podłużną, paszczę. Ile miodu!.. Ile!.. Siada i ssie... Nagle... Światło niknie, zapada się w świat duszny, ohydny...Ześlizguje się w jakąś ciemność i wpada w cuchnący płyn .. w cysternę na dnie ciemnem... Zrywa się... Chce siąść na ścianach, ale są bardzo śliskie, koleami zbrojne. Zsuwa się znowu w płyn ciemny, ale natychmiast zrywa się i wzlatuje. W górze dostrzegł wdzierającą się jasność, dostrzegł dzień... Więc wzlatuje ku wolności, ku światłu... Wzlatuje i uderza się o błonki przejrzyste w głowie liścia, o szybki mamiące i łudzące; bije o nie... Tam pod nim noc, wstrętna i straszna, tu za szybkami dzień, jasność i światło. Bije skrzydłami o szybki. Zmęczony wpada w płyn. Znowu się zrywa i wzlatuje. Bije o szybki, o te zdradzieckie szybki swego cuchnącego więzienia, szybki, po za któremi króluje światłość, życie, gwar, miód .. I tak godzinami...

Głodny jest, pada z głodu, ze znużenia, z zaduchu. Jeszcze się męczy, bo nie może zginąć... Szybki się zlitują i wypuszczą go... Prawda, zlitują się nad jego nędzą, nad jego głodem, nad znużeniem... Wtedy frunie na świat i już nigdy, nigdy nie siądzie na takim języku krwistym, pełnym miodu... Nigdy... Zadowoli się miodem z kwiatów... Zadowoli się miodem, odro-

trzymywali wielkie zamówienia i mieli sposobność zdobycia poważnych rynków, ale mając rozproszone siły i środki, nie mogli zadośćuczynić żądaniom. Wiele gałęzi rzemiosł skutkiem takiego stanu rzeczy pozostaje na poziomie pierwotnym, nie może się ani dźwigać, ani rozwijać.

Na takiem tle jeszcze się jaskrawiej zaznacza fałszywy krok zarządu. P. Kislański, podobno z tego właśnie powodu, podał się do dymisyi, ale to wcale ani nie zmniejsza, ani nie zmazuje znaczenia omyłki. Kierując tak poważną instytucyą społeczną, ktora ogniskuje w sobie wielorakie sprawy życia, trzeba w to życie głębiej i uważniej patrzeć, trzeba badać i oceniać wszelkie jego objawy nietylko doraźnie przy stole prezydyalnym Kto przystępuje do takich zadań doniosłych, powinien zawczasu ocenić swoje siły. P. Kislański niewątpliwie położył wielkie zasługi, stojąc na stanowisku kierownika Towarzystwa przemysłu i handlu, ale gdy się waży na szali działalność publiczną, nie można zapomnieć o tem, że i ta działalność ma ciężar gatunkowy. Jeden epizod, rzucony na szalę przedmiotów ujemnych, może przeważyć.

Prawie jednocześnie ujawniły się znamienne a zarazem pokrewne fakty w innej, młodziutkiej jeszcze instytucyi. Na schyłku roku ubiegłego powstało u nas Drugie Towarzystwo wzajemnego kredytu. Potrzeby i wymagania życia dowodziły, że instytucya taka nie jest zbyteczną, a pierwsze jej kroki, wróżące powodzenie, świadczyły, że przyszła ona w samą porę w chwili przesilenia w wielu dziedzinach życia ekonomicznego i podczas największych trudności kredytowych. Towarzystwo takie, umiejętnie kierowane, mogłoby się rozwinąć olbrzymio, tem bardziej, że do operacyj swych wciągnęło i prowincyę, zapowiadając kredyt dla rolników. Tymczasem na samym początku już się tam coś psuje. Panowie członkowie zarządu zaczęli z sobą załatwiać rachunki prywatne, które wybiegły po za mury Towarzystwa i zwróciły już uwagę publiczną. Rada Towarzystwa ogłosiła w pismach zawiadomienie, iż zwołuje nadzwyczajne zebranie celem zmiany 3 punktu § 17 ustawy i wyboru członków zarządu. Pod ogłoszeniem podpisał się sekretarz Rady, członek zarządu. Nazajutrz ta sama rada, tylko bez podpisu sekretarza członka zarządu, obwieściła światu, że poprzednie ogłoszenie zrobione było bez jej wiedzy (a więc samowolnie). Zatargi panów, stojących u steru, zaczynają coraz głośniejszem echem odbijać się w mieście i dyskredytować instytucyę. Już dziś ze wszystkich stron słyszymy, iż zaufanie ogółu do niej osłabło i nic dziwnego — gdy sternicy zaczynają załatwiać swoje osobiste sprawy, statek może wejść na skały lub mielizny. W takiem położeniu jest obecnie ta najświeższa nawa finansowa. Dochodzą nas skargi, że niesnaski prywatne panów członków zarządu zaczynają odbijać się nawet na interpretacyi przepisów, co oczywiście piętrzy formalistykę i utrudnia bieg spraw, ze szkodą ogółu zainteresowanego. Niechże rada znajdzie jakiś sposób wykreślenia rachunków prywatnych z programu działalności instytucyi publicznej, jeżeli pragnie jej dobra i pomyślnego rozwoju.

Zenon Pietkiewicz.

Pocztylion w liberyi hakatystów.

Berlin, 25 stycznia.

Od dawna już parlament nie odbywał tak ożywionych rozpraw, jak wczoraj, nie liczył tylu obecnych członków, nie wyładował tylu silnych namiętności. A stało się to za sprawą najpotulniejszego, najgorzej płatnego, najgłupszego zazwyczaj, choć idealnie sprawnego i wyćwiczonego urzędnika pruskiego — pocztyliona. Żyjemy w tej chwili pod hasłem karnawałowego rozpasania, czas nam płynie między orgią maskarady a jej rozwinięciem koniecznem: *katzenjammer*'em. Czemużby urzędnik pocztowy, zazwyczaj w błękitne sukno spowity, świecącemi guzami upstrzony, nie miał wziąć udziału w — balu kostyumowym? Zwierzchnik nie ma nic przeciwko temu i zaręczy krawcowi, iż kostyum wróci do składu nieskalanie czysty... Do krawca niedaleko. Przymierzmy: leży przedziwnie, *piramidalschneidig*, „ministeryalnie." Cudny to kostyum! Złożyły się nań długie dzieje, może całkowite dzieje Królestwa Pruskiego: materya niebywałej barwy, przetykana to czarnemi, to krwawemi niemi, cała mieniąca się wiarołomnemi symbolami krzyżactwa, łatana, zszywana, rozpruta i znów sztucznie, niezręcznie powiązana. Na głowę hełm trochę wypożyczony ze szlacheckich zbiorów, trochę skradziony, z huzarskiego na modłę pikielhauby przekuty. Nie idzie, za wielki, nie na miarę pocztylionowej czaszki skrojony. To nic. Jest tu czapka z dzwonkami. W rękę miecz drewniany, pomalowany na kolor złota... Rycerz gotowy. Niechaj rusza do turnieju...

Na stole prezydyalnym złożono interpelacyę posła Głębockiego, popartą przez Polaków, Alzatczyków, Welfów i centrum:

1) „Czy wiadomo kanclarzowi, że w wielu miejscowościach Prus urzędnicy pocztowi odmówili przyjęcia i ekspedycyi listów oraz posyłek wartościowych wbrew wskazaniom ordynacyi pocztowej z dnia 20-go marca 1900 roku, skutkiem czego wynikły straty dla publiczności? 2) Co kanclerz uczynić zamierza, aby postępowaniu takiemu na przyszłość kres położyć?" W rozwinięciu tej interpelacyi objaśnił p. Głębocki, że urzędnicy pocztowi od niedawnego czasu nie przyjmują listów adresowanych po polsku. Spotkało to nawet karty i listy, które obok polskiego nosiły adres niemiecki. Ordynacya pocztowa orzeka, że adres powinien być możliwie zupełny i wyraźny. Dopuszczalny zaś jest każdy język; poczta obowiązana jest przyjmować i ekspedyować każdy list w obcym języku adresowany z po za granic państwa niemieckiego nadesłany. Ludność wie doskonale, że urzędnicy pocztowi umieją po polsku, inaczej nie mogliby tłomaczyć adresów polskich na język niemiecki, jak to uczynili powielekroć, przerabiając „proboszcza" na „probst" itp. Przesyłki wartościowe i rekomendowane przyjmowane są bez wszelkiej zmiany z napisami polskimi — i tylko w stosunku do przesyłek zwyczajnych rozwinęła się w urzędnikach jakaś dziwna idyosynkrazya. Innemi słowy: poczta staje się areną ćwiczeń i doświadczeń politycznych, co nie odpowiada ani jej godności, ani dostojeństwu państwa...

Na trybunę wstępuje minister o dziwnem imieniu niemieckiem, *v. Podbielski*, który w przemówieniu stale przerywanem śmiechem lewicy — snuje opowieść bajeczną o statystyce zaginionych listów, o obarczaniu urzędników, o agitacyi dzienników polskich, o tem, że zamiast dźwięcznego *in Glogau*, ktoś, oczywiście *ein polnisches Vieh*, użył *w Głogowie*, że czysto niemiecka Neissa przeobrażoną została na Nissę itd. Słowem, urząd pocztowy jest w defenzywie; musi się bronić.

Głos otrzymuje poseł centrum, sędzia Roeren: „Uwagi p. ministra były albo niezrozumiałe, albo wszelkiego związku z interpelacyą pozbawione. Nie o to wcale chodzi, czy poczta w Poznańskiem była prowokowaną, ale o to, czy postępowała legalnie. Szczegóły zaś są tak oburzające, że chwilami zdaje się, jakoby opowiadano tu bajki myśliwskie. Jeden list nie został doręczony dlatego, że procz adresu zawie-

---

biną, nie będzie już nigdy ssał tak łapczywie... Zadowoli się... Jeżeli teraz padnie, to nie wzleci więcej... czuje to, Więc dobywa sił, wzlatuje, opada, goni ostatkami. Jeżeli nie dobędzie sił, to wpadnie tam... w cysternę na dnie, w tę cuchnącą, w której pływają trupy takich stworzeń, jak i on, trupy istot, co skończyły, jako i on może za chwilę skończy. A wtedy... Wtedy, gdy jeszcze drgać będzie, w plugawej cieczy się topić, wtedy ona przyjdzie. Trupiarka, ta wstrętna mucha. Wejdzie, którędy on wpadł, wejdzie swobodnie. Powoli zsunie się po śliskich ścianach, na których on się trzymać nie mógł... Zejdzie nad płyn i w nim, żywym i drgającym jeszcze, jaja złoży. Nie.. To straszne, nie może się to stać... Dobywa więc sił, wzlatuje... Jeżeli padnie... Przyjdzie ona, trupiarka. Mieszkanice tego piekła, tej nocy, tej zgnilizny. Jedno jedyne stworzenie w tym świecie szczęśliwe. Jedyna wyzyskiwaczka Darlingtonii. Nikt nie śmiał się oprzeć, każdy zginął... Ona nie... Jedyna istota, jedyna, co nie będzie ofiarą, co nie wpadnie w cysternę... Trzeba było ojców, dziadów, całych pokoleń na to... Przyjdzie, ześliźnie się po ścianach i w trupim zaduchu, w tej strasznej ciemności, po pod kopułą podłych, mamiących szybek, w nim, w drgającym jeszcze swe jaja złoży, całą swoją nadzieję, całe swoje szczęście. Gąsienice, co się potem wyklują, jego stoczą... Nie... Nie może zginąć, to byłoby przerażające!.. Nie... Strach mu dodaje sił, więc się unosi i bije w tej ciemności w szybki... Goni ostatkami... Tam za nim, za tą ciemnią ohydną, w światłości cudnej, w kwiatach i miodzie — życie, pełne po brzegi, przelewające się życie!..

. . . .

Wiedział Bachlida i czuł, że posiada w sobie siły wielkie, moc wielką i potężny żar. Wierzył, że aby spełnić wielkie zadania, tylko tyle potrzeba. Marzył o ogromnych rzeczach... O uwolnieniu świata od tych strasznych, brutalnych, nierozumnych Darlingtonij. O uwolnieniu go od tej roślinnej, bezdusznej materyi, co szybkami mami, aby nie znaleźć szpary, w której jest ratunek... Ile wtedy zadań spełni! Oto zginą muchy-trupiarki, ci wstrętni gospodarze cuchnących cystern; oto zginie tragedya straceńca z nieugiętą roślinną logiką, gdy za szybkami w całej światłości i w całej pełni dzień przebłyskuje. Znikne walka duszy. Tylko czy mu starczy na to siły? Taka myśl genialna przeciež!.. Oto Darlingtonij nie będzie niszczył i wycinał, jako myślał zrazu... Zabije kilka, a nowo wyrosną... zresztą zabijać nie wolno... Nie... Oto dwie, trzy, dziesięć, sto Darlingtonij wychowywać zacznie i sztucznie odzwyczajać od trupiej, ohydnej strawy. Całe pokolenia pocznie wychowywać, a potem rzuci w bagna... Będzie wtedy walka, a jedne drugich strawią.. dobre złych... Wierzył w to i o nic więcej nie pytał... A że wierzył, więc dniami, nocami pielęgnował drapieżców... Solami karmił, wodą, i odzwyczajał od trupów. Widział się coraz bliższym końca brutalnej tragedyi. Dzień zapanuje, a potem słońce i światło, życie pełne szczęścia, tętniące od barw, tonów i miodu... Cudny dzień, olbrzymiej walki, zwycięzenia złego... Solami karmił i wodą drapieżców, odzwyczajał od trupiej strawy. Darlingtonie widział na świecie tylko. Widział dobrze je wprawdzie i znał dobrze, ale jednej rzeczy nie widział i nie wiedział, oto, że w tych przez niego hodowanych ginęły siły, zatracała się energia, że stawały się one niezmiernie blade.

rał tytulaturę „wielmożny.“ Widzimy stąd, z jaką bezczelnością urzędnicy pozwalają sobie traktować obywateli narodowości polskiej. Nie dość jeszcze. Oddawca wymienionego listu zmienia dla żartu tytuł na „very honourable“ — list dochodzi przeznaczenia... Stosunki obecne zadają kłam ordynacyi związku pocztowego międzynarodowego. Jeżeli niektórzy podrzędni funkcyonaryusze wysługują się nikczemnie hakatyzmowi, to obowiązkiem zarządu centralnego jest objaśnić ich, że patrzeć mają tylko swojej służby.“ (Brawo — w centrum i na całej lewicy).

W sprawie tej tak napozór drobnej, a tak niebywale charakterystycznej zabierało głos kilku jeszcze posłów. Pan von Podbielski, który w pierwszem swem przemówieniu odwoływał się do uznania „nietylko parlamentu, ale całego narodu niemieckiego“ nie miał szczęśliwego popołudnia. Widzieliśmy, że na początku odrzucił interpelacyę zupełnie; następnie, zabierając głos powtórnie, ograniczył prawo urzędników do jednego tylko rodzaju przesyłek — wartościowych, wreszcie w ostatniem swem przemówieniu przyznać musiał że istotnie są w stadzie pocztylionów winni nadużyć służbowych urzędnicy.

Śmiechu było co niemiara. Wszyscy zjednoczeni na ławkach konserwatystów i narodowo-liberałów hakatyści nie łatwo strawili tę pigułkę. Co za czas nastał! *Eines lumpigen polnischen Briefes wegen* porywają się do walki posłowie z centrum, Alzatczycy, społeczni demokraci? Co to będzie? Co to będzie?

—ski.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Szczepienie kultury.

Stara, wyróżowana Europa, zaglądając przez ramię muzie historyi, piszącej dzieje ostatnich „szczepień kultury,“ ciągle coś jej szepcze do ucha i rumieni się. Czuje ona wstyd. Tylko nie litujcie się nad nią. To nie jest ów wstyd, który przykłada do twarzy rozpalone piętno, który pluje wzgardliwie w znieprawione serce, który rzuca winnego na ziemię, kopie go, depcze, znęca się nad nim niemiłosiernie; to nie jest ów straszny mściciel, który wtarga do najgłębszych tajników duszy ludzkiej, który wydziera jej maskę kłamstwa, który ją ściga we śnie i na jawie, który gasi każdą iskrę wesela w oczach, zdmuchuje uśmiech z ust i nie pozostawia swej ofierze innej drogi, jak tylko śmierć lub poprawę. Nie, Europa od wielu już lat takiego wstydu nie zna i jego udręczeniom nie podlega. Ona — jak każda *jeune cocotte, vieille bigotte* — nie dba o swoje serce, duszę, sumienie, lecz o pewne pozory i formy zewnętrzne, o dość przezroczystą, cienką i kruchą powłoczkę, którą stara się zdobyć i zachować koniecznie. Jej dom jest zewnątrz czysty, ale ma szyby z matowego szkła, ażeby z ulicy nie można było widzieć, co się wewnątrz dzieje. Jeżeli ktoś taką szybę stłucze i zdradzi tajemnice domu, *vieille bigotte* strasznie się gniewa i wstydzi.

I cóż ona szepcze muzie historyi? „To nieprawda... to można opuścić... to nie należy do dziejów“ — powtarza zakłopotana i nieraz tak rozgniewana, że aż jej tynk opada z twarzy. A o co chodzi?

W tej chwili najoświeceńsze narody — Anglicy, Niemcy — „szczepią kulturę“ na dwu dzikich pniach ludzkości w Afryce i Azyi. Nie prowadzą tam rozboju — broń Boże! — gdzieżby dostojny cywilizator imał się dziś takiego szpetnego rzemiosła! — powtarzam: szczepią kulturę, co jest tak chwalebnem, że nawet tu u nas nad Wisłą odezwały się oklaski dla tych czcigodnych hodowców „idei.“ Jakich oni używają sposobów, jakie to są szlachetne płonki i jakich spodziewać się można owoców — pouczyły nas kartki dziennika, które Europa bardzo szczegółowo i starannie prowadzi w swej prasie. Clio ma do zapisania kwiatki „kultury“ europejskiej.

W pewnej fermie boerskiej oficerowie angielscy znaleźli ukrytego chłopca, lekko rannego. Dają mu konia i każą uciekać. Uradowany tą wspaniałomyślnością wskoczył na siodło i pomknął. Oni uśmiechnęli się z tej niewinności i gdy chłopiec odjechał na 300 metrów — dali ognia. Ta odległość była potrzebną... dla sportu. Zastrzelenie z mniejszej nie byłoby popisem celności i — czelności.

„Gdyby można ułożyć statystykę gwałtów — pisze w *Independence Belge* pastor boerski, Brezenhuyzen — popełnionych we wszystkich miastach, wsiach i fermach, okazałoby się, że shańbiono przynajmniej 30% naszych kobiet i dziewcząt... Pomiędzy żołnierzami angielskimi panują choroby, których ofiarą padną dzieci i wojownicy boerscy po powróceniu do domów. Na myśl tę serce pęka z bólu.“ Tak cywilizatorowie postępują ze zdrowemi. A z choremi? Wywlóczą je z łóżek, wynoszą na dwór i każą im przypatrywać się wzniecanym pożarom.

Toż samo w Chinach. Żołnierze niemieccy, sławni z okrucieństw, gdziekolwiek wejdą, spełniali rzetelnie dane im przed wyjazdem hasło. Dla zabawki, idąc drogą, strzelali do spokojnych „nieprzyjaciół,“ pracujących w polu! Inni wypróbowywali w ten sposób celność i donośność karabinów. Inni, złapawszy gromadę przestraszonego biedactwa, kazali owym „jeńcom“ wykopać doły i stanąć nad nimi: każdy zabity wpadał odrazu w swój grób. Głowami ściętych tak ugarnirowano wsie i miasta „dla przestrogi,“ że aż „powietrze się popsuło.“ A jak w rabunkach hulały zacne rzesze! Szukając pieniędzy w pałacach cesarskich, rozbijano wszystko, nawet posągi. Gdy nie można było zabrać całych przedmiotów, chwytano przynajmniej najkosztowniejsze ich części. Z zegarów, na których umieszczone było słońce, wyłamywano jego złote promienie. W bibliotekach obdzierano z książek oprawy jedwabne i aksamitne. Stoły, ławki i krzesła rąbano na drzewo do palenia. Jeden z żołnierzy niemieckich nazbierał duży worek zegarków kieszonkowych, które sprzedawał po dwa dolary za sztukę. Do ambasad przyjeżdżały całe wozy przedmiotów zrabowanych, które sprzedawano za bezcen, a dochodem żołnierze dzielili się z oficerami. Po oswobodzeniu posłów, oblężonych w Pekinie, niektóre z pań (według *Westminst. Gazette*) pobiegły natychmiast do najbogatszych sklepów jubilerskich i obrały je z klejnotów. Gdy wyszedł zakaz grabieży, oficerowie i żołnierze angielscy „kupowali“ kosztowności od Chińczyków, przykładając im do piersi lufy pistoletów. Nic dziwnego, że po wyprowadzeniu tych wyrobów na rynek — jak zapewnia jeden z korespondentów — „pomimo wojny handel ożywił się znacznie.“

Nie kuszę się o wyczerpanie całej kroniki tego „szczepienia kultury,“ przytoczyłem tylko parę przykładów.

Dawno już cywilizacyjne posłannictwo narodów oświeconych względem „dzikich“ nie objawiło się tak wspaniale. Zawdzięcza to świat kilku przyjaznym okolicznościom: 1) żołnierz służący z obowiązku może być dobrym lub złym — żołnierz z najmu jest zawsze podłym i okrutnym, a takim posługuje się głównie Anglia; 2) znane instynkty rasy germańskiej w obu wyprawach zostały mocno podrażnione współzawodnictwem i niepowodzeniami. Rzeczywiście, jeśli kto nawet miał złudzenia, to chyba teraz pozbył się ich i uwierzył, że „ucywilizowany“ Europejczyk pozostaje ciągle w istocie swojej dziką bestyą, która dlatego wygląda łagodnie, nie rzuca się i nie zagryza swych towarzyszów lub nieprzyjaciół, że nosi kaganiec lub kółko w nozdrzach, nadewszystko zaś przebywa w klatce z żelaznych praw. Ile razy mu ten kaganiec i kółko zdejmą lub klatkę otworzą, a jeszcze gdy nim zwierzynę poszczują — tygrysy w puszczach zawstydzają się jego drapieżnością. One bowiem uduszą i pożrą ofiarę, ale nie będą jej zadawać tortur moralnych i obrażać najdrażliwszych uczuć, nie będą gwałcić niewiast lub w świątyniach urządzać składów siana — jak to czynią (według *St. Pet. Wiedomosti*) Anglicy i Niemcy w Chinach.

Gdyby Europa zachodnia rzeczywiście dbała o swoje uszlachetnienie i zdrowie moralne; gdyby ona miała szczery wstręt do rozboju i grabieży; gdyby ona mogła rzucić okiem dalej po za korzyści chwilowe i dojrzeć odległe skutki swego obłudnego cynizmu — przeraziłaby się widokiem tych zbrodni, jakie popełniają dziś jej synowie w swych „kulturalnych“ wyprawach. A wtedy przestałaby myśleć o gromadzeniu bogactw, postępach techniki, kanałach na Marsie i zabrałaby się co prędzej do moralnego kształcenia młodych pokoleń, do ratowania i rozwijania w ich umysłach i sercach nasion prawdziwej kultury, które w nich zeschły, zgniły lub giną zachwaszczone barbarzyństwem. Że w obecnym Europejczyku tkwi dzikie zwierzę, dowiedli Anglicy nietylko w Afryce i Azyi, ale nawet w Londynie. Gdy powracający z wojny żołnierze weszli do stolicy, powitani przez wdzięczny i uniesiony naród łzami, okrzykami i kwiatami, odpowiadając na ten entuzyazm, rzucili się do rabowania sklepów i napastowania kobiet. Po kilku miesiącach swobodnej i bezkarnej pohulanki nie mogli się odrazu opamiętać i zastosować do cywilizowanych warunków życia. Oswoili się z nimi i złagodnieli dopiero wtedy, kiedy zobaczyli pręt pogromcy, kiedy im nałożono kaganiec i zamknięto w klatce. Niech duchy wielkich i szlachetnych myślicieli powiedzą, czy najbogatsze kopalnie złota i dyamentów w Transwaalu, czy najobfitsze łupy zdobyte w Chinach mogą opłacić i wyrównać szkody tego zdziczenia? Straszna ślepota, której błony przyszłość kiedyś zedrze niemiłosiernie.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

Z ZAMIERZCHŁEJ PRZESZŁOŚCI.

Gabryel i Adryan de Mortillet: *Le Préhistorique, origine et antiquité de l'homme.* Wyd. III, Paryż, Br. Schleicher, str. XXII i 709.

Podręcznik Gabryela de Mortillet, poświęcony przedstawieniu szczątków człowieka kopalnego, owoców jego zapobiegliwości i trybu jego życia, cieszy się w nauce trwałą powagą. Ukazał się on świeżo w trzeciem wydaniu, zupełnie przerobionem i znacznie powiększonem, co jest rzeczą zrozumiałą wobec wzrostu odkryć, dokonanych przez archeologię przedhistoryczną. Uzupełnień dokonał syn zmarłego, który poszedł w ślady ojca. Dzieło Mortilleta, w pierwszem swem

wydaniu, była to książka bojowa, wymierzona przeciwko próbom obniżenia doniosłości odkryć archeologii przedhistorycznej. Badania zadawały cios chronologii i wogóle twierdzeniom o przeszłości rodu naszego i podkopywały powagę dogmatu. Walka była zażartą, bo przeciwnicy, ukrywając istotne pobudki swej niechęci, przywdziewali maskę naukową i z pomocą argumentów naukowych usiłowali osłabić znaczenie, a nawet autentyczność każdego faktu, cofającego starożytność ludzkości w zbyt daleką przeszłość. Trzeba było dosłownie zdobywać każdą piędź ziemi. Mortillet śmiało stanął na wyłomie, broniąc zdobyczy nauki. Walka ta ciągnie się i dzisiaj. „Nie mogąc zaprzeczyć istnienia człowieka w pierwotnych okresach epoki czwartorzędowej, przeciwnicy starają się przynajmniej przybliżyć do nas tę epokę, pozbawić ją charakteru starożytnego i wywołują spory co do klasyfikacyi, dobitnie tę starożytność stwierdzającej. Od pewnego czasu starania zostały szczególnie skierowane przeciw chronologii, poprzednikowi człowieka i sprawie okresu trzeciorzędowego, tj. przeciw temu wszystkiemu, co może nadać naszemu rodowi pozory starożytności. Walka toczy się na tej widowni uporczywa i wytrwała, a udało się ją przenieść nawet do zakładów naukowych, uchodzących za najbardziej wyzwolone od przesądów.“

Jak zaznacza w powyższym ustępie Mortillet, chodzi tam zwłaszcza o człowieka trzeciorzędowego, a przynajmniej o istnienie, w tej odległej od nas o setki tysięcy lat epoce, stworzenia o tyle inteligentnego, iż posiadało umiejętność niecenia ognia i zdołało nadawać krzemieniom celowe kształty. Przed 20—30 laty dowody istnienia takiego stworzenia budziły żywe zainteresowanie w kołach uczonych. Znajdowano kości, porysowane w pewien dużo dający do myślenia sposób, jak np. nacięcia na kościach Balaenotusa, wykopanych przez Capelliniego; wydobyto z pokładów trzeciorzędowych kości ludzkie, wykopano krzemienie ciosane. Profan nie zdoła nawet w przybliżeniu przedstawić sobie, ile każda kreska lub wyżłobienie wywoływały namiętnych sporów, do ilu specyalnych studyów dawały pochop. Badano ziemię na miejscu, gdzie znaleziono rzekome dowody istnienia człowieka trzeciorzędowego, by sprawdzić, czy owe szczątki nie zsunęły się w głąb przez jakąś szczelinę lub w jakikolwiek inny sposób; usiłowano z pomocą licznych doświadczeń wykryć przyczyny dostrzeganych na kościach nacięć, wykluczające udział ręki ludzkiej, i w tym celu studyowano np. mechanizm szczęki wielkich drapieżców morskich. Niekiedy przypadek rozstrzygał o sporze, jak np., gdy wyciągnięto świeżą kość z głębin Oceanu Spokojnego, posiadającą takie same ślady na sobie zębów ryb drapieżnych, jak rysy na kościach Balaenotusa, przypisywane trzeciorzędowemu człowiekowi. Pozyskiwano głębszą znajomość różnych ubocznych wpływów, ale tracono wiarę w naszego przodka z okresów trzeciorzędowych. Pod działaniem krytyki, często kierowanej przez względy uboczne nauce, ale uzbrojonej w fakty i argumenty, rzekome dowody traciły przypisywany im charakter, a kiedy namiętności i ambicye ostygły, sporne przedmioty szły w zapomnienie. Mortillet w swoim wykładzie nie odznacza się żywością, raczej grzeszy zbytnią oschłością. A jednak te suche fakty, wzmianki o dyskusyach, komisyach, nawet o antagonizmach osobistych tak wiele mówią! Na każdej stronicy tej opowieści w myśli mojej roztacza się cały dramat — rozbudzonych a zawiedzionych ambicyj, osobistych zawiści, narodowych uprzedzeń, a nawet szalejących namiętności: posuwam się jakby po równinie, pokrytej warstwą zastygłej lawy, i w wyobraźni zmartwychpowstają objawy życia, które ongi tętniało całą pełnią.

Badacze, sparzywszy się niejednokrotnie, nauczyli się ostrożności, która nawet niekiedy zakrawa na obawę. Mortilletowie przecież obstają przy autentyczności krzemieni z Thenay, Puy Courny i Otta. O niektórych, wydobytych w Thenay, twierdzą oni, że rozłupywano je z pomocą ognia, a potem nadawano pożądane kształty działaniem ręki. Dzisiaj jeszcze Andamańczycy i niektóre plemiona australskie posługują się tymi sposobami. Ale nie wszyscy badacze podzielają to zdanie. Wielu cofa się przed wnioskami, wypływającymi z przyznania autentyczności krzemieni trzeciorzędowych. Odkrycia w Thenay cofają nas bowiem prawdopodobnie na miliony lat w przeszłość. Od tego czasu do początków epoki czwartorzędowej, w której człowiek istnieje z pewnością, fauna sześć razy ulegała zupełnej zmianie, klimat przekształcał się, konfiguracya Europy stała się inną, a nawet kilka razy była inną. W jaki sposób jeden człowiek ostałby się powszechnemu przewrotowi, ogarniającemu nawet otaczający go świat kształtów organicznych? Nadto rozmiary krzemieni, uznanych za autentyczne, tj. celowo ciosane, są tak małe, iż trudno zrozumieć, na jaki użytek mogłyby się przydać istocie ludzkiej. W obliczu tych faktów nawet Mortilletowie cofają się przed przypuszczeniem, ażeby człowiek dokonał był spostrzeganego na kamieniu uderzenia albo za pomocą ognia kamienie owe rozłupywał. Wyprowadzają na widownię istotę, poprzedzającą człowieka, *le precurseur de l'homme*, jak wyraża się Hovelacque, *Homosimiusa*, jak brzmi nazwa u obu naszych autorów. Co więcej, boją się oni utożsamiać, jako ten sam gatunek, stworzenia, żyjące w trzech powyżej wymienionych punktach, przypuszczają więc aż trzy odmiany: *Homosimius Bourgeoisii* byłby twórcą krzemieni thenayskich, znałby umiejętność ognia i niekształtnego ciosania kamieni; *Homosimius Ribeiroi* miałby siedzibę swoją w Portugalii (Otta); *Homosimius Ramesii* zaś przebywałby w dzisiejszem Puy-Courny. Były to stworzenia, wzrostem swym nierówne człowiekowi, zwłaszcza pierwsza z tych odmian, ochrzczona imieniem archeologa Bourgeois, odznaczałaby się niska postawą...

Z obowiązku sprawozdawcy powtarzamy te przypuszczenia Mortilletów, ale winniśmy zaznaczyć, iż sami osobiście skłaniamy się w tym względzie do większej powściągliwości i, z całą stanowczością przyjmując możliwość i nawet konieczność istnienia stworzenia, w okresach późniejszych, a nawet środkowych epoki trzeciorzędowej, nie możemy jakoś nabrać wiary do krzemieni portugalskich i thenayskich a tem bardziej do owych trzech odmian pra-człowieka. Zresztą co do „poprzednika człowieka,“ przypadek, taką rolę odgrywający w odkryciach archeologii, wyciągnął go z głębiny zamierzchłych wieków na światło dzienne przed paru laty. Mamy na myśli szkielet stworzenia, któremu nadano nazwę *Anthropopithecus erectus*. Odkrywca, Holender, Eugeniusz Dubois, znalazł na Jawie dwa jego zęby, goleń i czaszkę, leżące w niewielkiej od siebie odległości, bo dziesięciu metrów, co zresztą wywołało spory, czy te szczątki mogą należeć do tej samej istoty. Trudno dokładnie oznaczyć starożytność pokładów skutkiem małego postępu geologii tamtych okolic, ale raczej trzeba je odnieść do ostatnich czasów miocenu, a nawet pierwszych okresów pliocenu, niż do epoki czwartorzędowej. Co do klasyfikacyi samego stworzenia, zdania uczonych podzieliły się i do dnia dzisiejszego nie wyrównały się jeszcze. Jedni uważają je jako należące do bardzo nizkiego przedstawiciela kształtów ludzkich, inni mają je za kości małpy człekokształtnej, wyżej posuniętej na skali postępowej, niż gatunki istniejące dzisiaj na globie. Ta rozbieżność zdań świadczy o tem, że bądź co bądź żywa istota, której resztki posiadamy dzięki przypadkowi, zajmowała pośrednie stanowisko pomiędzy człowiekiem a małpami człekokształtnemi. Zwłaszcza o czaszce nie można w żaden sposób powiedzieć, ażeby należała do człowieka, ale także niepodobna jej przypisać małpie, chociaż pewnemi właściwościami swojemi zbliża się do czaszki gibbona. Jej pojemność nie przewyższa 1,000 centymetrów sześciennych, a Dubois ocenia ją nawet tylko na 900. Nawet przyjmując najwyższą granicę pojemności, a więc 1,000 cm. sześc., jeszcze jesteśmy bardzo dalecy od najniższych przeciętnych pojemności, charakteryzujących najniższe grupy rodu ludzkiego z pośród obecnie istniejących. Jedynie wśród okazów patologicznych zdarza się taki nizki poziom pojemności, brak atoli innych cech, zbliżających czaszkę, wykopaną na Jawie, do gibbonów; z drugiej zaś strony cała przepaść dzieli ją od objętości czaszkowej, właściwej temu gatunkowi.

Dzieje sporów o człowieka z epoki trzeciorzędowej stanowią niewielki stosunkowo ustęp w książce Mortilletów. Reszta jest poświęcona odkryciom, dotyczącym czwartorzędowca. Nie zatrzymujemy się nad niemi. Poprzestaniemy jedynie na wzmiance, iż wyczerpuje ona obficie materyał, pochodzący z Francyi, ale w bardzo nierównej mierze zaznajamia czytelnika z tem, co zrobiono po za obrębem krajów romańskich. Jest to bodaj wadą wszystkich prac naukowych francuskich. Nadto często hołduje ona zapatrywaniom, które zostały bardzo silnie podważone przez postęp wiedzy antropologicznej w ostatniem dziesięcioleciu. Główne punkty wywodów Mortilletów dadzą się streścić w następujących zdaniach:

Człowiek z niezaprzeczoną pewnością zjawia się na globie z początkiem okresu czwartorzędowego, a więc na 230—240 tysięcy lat przed chwilą obecną. Pierwszą odmianą, która ukazuje się w Europie zachodniej, jest typ *neanderthaleński*, tubylczy w całem słowa znaczeniu. Przekształca się zwolna, ażeby wreszcie wydać z siebie typ *cro-magnoński*. Jego technika również czyni wolne, ale ciągłe postępy, co świadczy, iż doskonalenie odbywało się na miejscu, bez wstrząśnień i najazdów. Ten postęp, ujawniający się w kształtach narzędzi krzemiennych, umożliwia podział epoki czwartorzędowej na cztery okresy zasadnicze: *szelleeński*, poprzedzający epokę lodowcową, *musterieński*, jej współczesny, *solutreński* i *magdaleński*, późniejsze od całunu lodowego, który pokrywał znaczną część Europy. Czwartorzędowiec nie znał rolnictwa, był rybołówcą i zwłaszcza myśliwym, żył w pokoju z sąsiadami, koczował w pewnych granicach. W końcowych okresach wykazał wiele zdolności artystycznych, a mianowicie w rysunku i rzeźbie.

Z zbliżaniem się okresu obecnego rozpoczynają się najazdy, idące od wschodu i sprowadzające do Europy nowy zgoła typ antropologiczny, a mianowicie krótkogłowców. Nastają epoki zmieszania rasowego i wpływów plemiennych. Technika ulega zupełnemu przekształceniu, ukazują się zwierzęta domowe, rolnictwo. Pierwsze najazdy prawdopodobnie wychodzą z Azyi Mniejszej, Armenii i Kaukazu, chociaż już przed niemi pojawiały się mniej liczne i wpływowe, a przedewszystkiem mniej cywilizowane zagony krótkogłowców.

Tak wygląda wątek dziejów Europy czwartorzędowej według Mortilleta, grzeszący zresztą schematyzmem i w wielu zasadniczych punktach zupełnie podważony przez zdobycze naukowe ostatniej chwili.

L.

LITERATURA I SZTUKA.

Michał Wiszniewski
I PUŚCIZNA PO NIM.

I.

Zgnębiony zawodami życiowemi, rozgoryczony na rodaków, zmarł przed 35 laty, 22 grudnia 1865 r., w Nicei znakomity uczony, historyk, filozof i pedagog — Michał Wiszniewski. Wychowaniec Krzemienieckiego liceum (1808—1815) i uniwersytetu w Edymburgu (1820—1822), profesor przez lat 16 historyi i literatury powszechnej i literatury polskiej w uniwersytecie Jagiellońskim (1832—1848), jednodniowy dyktator w r. 1846 w Krakowie — opuszcza w r. 1848 kraj nazawsze i osiada we Włoszech, w Genui. Doradca i przyjaciel Cavoura, dorabia się, dzięki wskazówkom Zygm. Krasińskiego [1]), przez szczęśliwe obroty pieniężne znacznego majątku, a za zasługi — tytułu książęcego od króla włoskiego; ale już w r. 1858 w przesileniu finansowem, „z którego wyszedł niepokalany," wszystko niemal utraca. W tym czasie odwiedził go Kraszewski w willi pod Genuą i dał nam w swych „Kartkach z podróży" (1858) przejmującą charakterystykę znękanego przeciwnościami mędrca. „Rzucił on za sobą ten kraj, dla którego mozolnie i poczciwie pracował długo, w którego literaturze zaszczytne zajmuje miejsce, zerwał z nim i gorycz mu została, czując się zapomnianym, opuszczonym, nieznanym i nieocenionym." „Naprożno — pisze dalej Kraszewski — usiłowałem cokolwiek go rozweselić, zdawało się, że widok ziomka, przybysza z kraju, całą gorycz długo tajoną i żal do swoich dobył z niego, był przerażająco smutny, nielitościwie szyderski" [2]). Smutek ten odbił się w jego „Myślach o ukształceniu siebie samego," pisanych w ostatnich latach życia. „Na tym świecie materyalnym i niesprawiedliwym — pisze Wiszniewski — najwięcej ucierpiałem z woli drugich. Chciałem polepszenia kraju, a moja bezwładność przeciw mnie się obróciła. Gdy wejdę w grób nicości, nie będę żałował tego świata, który mnie nie zrozumiał i który mi oddał niesprawiedliwością wszystko, co dla niego z miłości uczyniłem. W innem życiu może znajdę nieskończoność, której tu nadaremnie szukałem... Przewidziałem horyzont wielkości i spokoju dla swych braci, ale oni mej myśli nie zrozumieli, ja jeden przeczułem upadek. Lecz ten świat nie jest prawdziwem życiem — bo wszystko jest zmyśleniem i próżnością. Ojczyzną moją będzie ta, gdzie kochają dla kochania. Ja silnie tak kochałem wszystkich, co cierpią, a byłem zapomniany i często zdradzany. Pozostały mi tylko święte uczucia i przywiązanie familii — bo moi rodacy mnie opuścili... Dumając w ustroni od świata, od którego uciekam, widzę, że nic niema lepszego nad godność duszy... Oddany myślom śród walki i smutku, wzdycham do wieczności, jak cudzoziemiec, który z daleka widzi obiecaną ziemię i którą przeczuciem już poznał, bo patrzy i widzi oczyma duszy dalej, niżli nasza nędzna ziemia zasięgnąć potrafi..." [3]).

[1]) Zob. List Z. Krasińskiego do M. Wiszniewskiego z d. 14 grud. 1851, ogłoszony w *Kraju* z r. 1886, nr 5.

[2]) „Kartki z podróży," wyd. warsz. z r. 1892, str. 228—232. (Kraszewski. Wybór pism. Oddział VIII).

[3]) „Myśli o ukształc. siebie samego." Warszawa, 1873. Rozdz. XII.

Znany jest Wiszniewski i ceniony głównie jako autor pomnikowej, choć nieukończonej „Historyi literatury polskiej," inne jego pisma są dziś zapomniane albo nieznane. Zasługi jego jako głosiciela pewnych zasad, filozoficznych i etycznych, nie są dostatecznie ocenione; stanowisko jego w dziejach filozofii u nas i znaczenie nie jest ani zbadane, ani ustalone.

Umysł jasny, trzeźwy, wykształcony na filozofii szkockiej, filozofii zdrowego rozsądku, pokrewny Janowi Śniadeckiemu, zwolennikowi tej samej filozofii, ale rozleglejszy, nie tak ciasny i ograniczony; pokrewny i Brodzińskiemu, ale bystrzejszy — nawołuje on do równowagi między rozumem a imaginacyą, która prowadzi do jasności w myślach i gruntowności w rozumowaniu; pobudza wciąż do ćwiczeń umysłu, do myślenia o własnych siłach, inaczej nic stworzymy nic nowego, nic oryginalnego, lecz będziemy naśladować, a umysł nasz zniedołężnieje. Poznajmy więc naturę umysłu ludzkiego. Najszacowniejszy przymiot umysłu — to zdrowy rozsądek. Nie otworzy on nam podwoi świata nadprzyrodzonego, ale wystarcza do życia na tym ziemskim padole. W tym mniej więcej duchu przemawia do młodzieży, w tym duchu wykłada. Pełen troski o jej zdrowie umysłowe i moralne, przeznacza i poświęca „dla pożytku młodzieży polskiej" szereg dzieł i dziełek, przejrzyście i jasno opracowanych. Nie wszystkie są wydane. Zasługi Wiszniewskiego jako pedagoga trzebaby też ocenić.

Wiszniewskim filozofom historycy filozofii w Polsce bardzo mało się zajmują; poświęcają mu zaledwie wzmianki, i to nieraz lekceważące. Krupiński w swej pracy „O filozofii w Polsce" w ten sposób się o nim wyraża: „M. Wiszniewski przełożył (!) „Nowy Organon" Bakona, czem większą zrobił przysługę, aniżeli swymi „Charakterami rozumów ludzkich" [1]). Prof. Struve w „Wykładzie systematycznym logiki" (1870) prostuje wprawdzie niedokładne wyrażenie Krupińskiego „przełożył" na „wyłożył," powtarza jednak w jednym wierszu opinię jego o Wiszniewskim, pomijając nawet pracę Wiszniewskiego z zakresu logiki. We „Wstępie krytycznym do filozofii" prof. Struve omawia pobieżnie tylko, za pomocą cytat, trzy dzieła Wiszniewskiego („Bakona metodę," „Charaktery" i „Myśli") z zakresu filozofii. Nawet w pracach prof Struvego, poświęconych wyłącznie dziejom filozofii w Polsce („Die polnische Literatur zur Geschichte der Philosophie" [2]) i „Historya filozofii w Polsce") o Wiszniewskim głucho. Przynajmniej w pierwszym zeszycie tego ostatniego dzieła, który przedstawia pewną całość, prof. Struve wymienia cały szereg filozofów i *quasi*-filozofów polskich, kończąc na Mickiewiczu i Towiańskim — o Wiszniewskim przemilcza. Prof. Struve zajmuje się nawet bredniami, jak je sam nazywa, J. N. Kamińskiego, pomija jednak wspaniałą metafizykę Słowackiego (zawartą w „Genezie z ducha," w „Liście do Rembowskiego" i „Wykładzie nauki"), jakby ona do ogólnego obrazu filozofii *polskiej* nie należała. Wobec tego faktu dziwić się nie wypada, że Wiszniewski dla prof. Struvego jakby nie istnieje, bo on nie jest reprezentantem filozofii narodowej polskiej, jak ją prof. Struve pojmuje, chociaż pisał i działał w okresie historyi filozofii w Polsce, tak nazwanym przez prof. Str. idealistycznym (1830—1863). Wiszniewski jako empiryk, nie idealista, stoi na uboczu, więc, rzecz naturalna, mąci obraz „narodowej" filozofii polskiej.

A jednak Wiszniewski, (nie Mochnacki, jak sądzi prof. Struve (47), wzywał pierwszy rodaków do stworzenia filozofii narodowej. W rozprawie jego mało znanej, z r. 1820, p. n. „O systematach filozofii moralnej," której prof. Str. nie uwzględnił, czytamy te znamienne słowa: „Filozofia i wogólności nauki moralne póty się u nas nie przyjmą, póki będziemy tłomaczyli książki, nie myśli. Naród nasz... nigdy właściwej sobie i różniącej go od innych cechy umysłowej nie rozwinie, nigdy się w literaturze do oryginalności podnieść nie zdoła, póki się w kraju naszym chęć większego zgłębiania i filozofia nie przyjmie, póki uczeni nasi wiecznie tłomaczyć i naśladować, póki o cudzym rozumie żyć będą. Jak każdy człowiek, tak naród we własnych siłach największą ufność pokładać powinien. Nam nie francuskiej, niemieckiej lub angielskiej filozofii potrzeba, ale polskiej... Jakżeby byli daleko w filozofii nie zaszli (Francuzi), gdyby był Condillac... zamiast tłomaczenia i wykładania Locke'a szczęśliwie poczętą przez Descartes'a filozofię doskonalił i rozwijał. Gdyby Anglicy byli tłomaczyli i naśladowali filozofię Leibnitza lub Wolffa, nie mieliby dziś Hume'go, Hutchesona i Reida... Jak każdy naród ma właściwy sobie geniusz i charakter, tak osobną powinien mieć literaturę i osobną filozofię." A więc Wiszniewski, nie Mochnacki, pierwszy zrozumiał, że „należy przedewszystkiem postarać się o samodzielny rozwój ojczystego ja." Mamy też ślad, że Wiszniewski rozwijał myśl tę i w wykładach swoich filozoficznych w Krzemieńcu (1823 do 1824).

Faktem jest, że z dzieł Wiszniewskiego, pomijając sporo nieogłoszonych, ale łatwo dostępnych, trzy znamienne, a oddawna wydane — „O rozumie ludzkim," cenione przez Anglików „Sketches and characters" i „O systematach filozofii moralnej" są piszącym o ruchu filozoficznym w Polsce w w. XIX mało, albo wcale nieznane.

Życie i działalność Wiszniewskiego naukowa i profesorska nie jest w żadnej monografii wyczerpująco lub chociażby treściwie, ale dokładnie, przedstawiona. Życiorysy, jakie są: W. Korotyńskiego, Niesiołowskiego, który korzystał z notat i wspomnień samego Wiszniewskiego, Sowińskiego, Biegeleisena, Wurzbacha [1]) i innych, są pobieżne i pełno dat i faktów bałamutnych lub sprzecznych. Tak np. nawet czas rozpoczęcia i zakończenia kilkunastoletnich wykładów Wiszniewskiego w uniwersytecie Jagiellońskim różnie jest podawany. Zwykle biografowie każą Wiszniewskiemu obejmować katedrę w r. 1830, a ustępować z niej w r. 1846 [2]). W „Index lectionum" uniwersytetu Jagiellońskiego Wiszniewski figuruje po raz pierwszy jako wykładający dopiero w r. szkolnym 1831—32 i występuje jako taki po raz ostatni jeszcze w r. szkolnym 1848—49. Skądinąd wiemy, że Wiszniewski przybył do Krakowa dopiero w r. 1832, a opuścił to miasto na zawsze w r. 1848; że zaś wykładał w uniwersytecie jeszcze w r. 1847, jest na to dowód w rękopisach wykładów „Historyi powszechnej," złożonych w Bibliotece Jagiellońskiej (o których niżej). Miał zwyczaj Wiszniewski przy każdym wykładzie z historyi, który powtarzał co roku, notować na marginesie daty, kiedy się wykład odbył (czy też miał odbyć). W wielu miejscach jest tych dat wypisanych kilkanaście, jedna pod drugą; ostatnia, jaką znalazłem, jest data: 20 kwietnia 1847 r. W następnym roku szk. 1847—48 wykładał historyę literatury polskiej. Według wszelkiego więc prawdopodobieństwa wykłady swoje rozpoczął w r. 1832, a zakończył, co najpóźniej, w pierwszej połowie r. 1848. Na początku roku szk. 1848—49

[1]) Schwegler: „Historya filozofii w zarysie." Warsz. 1863, str. 475.

[2]) Wspomina tu tylko o „Bakona metodzie tłomaczenia natury."

[1]) „Bibliographisches Lexikon des Kaiserthums Oesterreich's." Band 57. Wien. 1889.

[2]) Zob. np. Chmielowskiego „Hist. liter. polsk.," t. V, str. 45—46.

urząd Wiszniewskiego objął prawdopodobnie zastępca [1]). Okres zatem profesorski Wiszniewskiego w Krakowie trwał przez lat szesnaście (jak sam podaje), ale nie od r. 1830 do 1846, lecz od r. 1832 do 1848.

Do napisania życiorysu i studyum o Wiszniewskim za mało jeszcze źródeł ogłoszono; to, co podaje np. Niesiołowski [2]), są to tylko urywkowe wiadomostki, z sobą nie powiązane i niepewne; korespondencya z okresu krakowskiego przechowuje się w archiwum Przeździeckich; ogłoszono ją tylko częściowo. Nieco materyału autobiograficznego, w postaci urywków i notat, znajduje się tu i owdzie w rękopisach Wiszniewskiego, przechowywanych w Ossolineum i w Bibliotece Jagiellońskiej; ciekawe wynurzenia — w „Myślach o ukształceniu siebie samego.“ Przyczynek autobiograficzny Wiszniewskiego ogłosił p. Biegeleisen, z rękopisów bibl. Ossolińskich, w lwowskim *Tygodniku narodowym* z r. 1900 (nr. 38) p. t. „Z autobiografii M. Wiszniewskiego [3]); nie jest to wszakże fragment jakichś pamiętników, lecz tylko luźna notatka. Żali się tu Wiszniewski gorzko na samowolę wydawców ostatnich dwu tomów jego „Historyi literatury polskiej,“ którzy bez jego wiedzy i woli ogłosili materyał nieuporządkowany i nieopracowany, jako ciąg dalszy i zakończenie dzieła. Dla charakterystyki Wiszniewskiego ustępy te autobiograficzne są bardzo znamienne. Wertując rękopisy Wiszniewskiego we Lwowie i w Krakowie, znalazłem między tekstem wykładów historyi powszechnej wpisaną na trzech stronach kopię listu Wiszniewskiego z nagłówkiem „List pisany do Anny Szugtówny, później Terleckiej w r. 1832“ [4]). Wyraża się tu W. między innemi w ten sposób: „...My Was zawsze z lubością słuchać, zawsze Wam przyklaskiwać będziemy — słuchając miłej Waszej lutni brzmienia może nietylko czoło rozmarszczy się, ale i dusza znękana obecnością da przystęp nadziei — bądźcie naszą Sybillą — boć jużeśmy Wam naznaczyli miejsce po Drużbackiej i Tańskiej...“ Listu tego w całości nie ogłaszam, nie będąc pewnym, czy nie był już gdzie wydrukowany.

Smutny to fakt, że taki niepospolity człowiek, myśliciel, badacz i pisarz, jak Wiszniewski, nie doczekał się jeszcze sumiennego biografa, ale pod tym względem podziela on los tylu innych zasłużonych Polaków, jak Konarski, Kołłątaj — smutniejsza to przecież prawda, że wiele dzieł jego, nawet przez autora przygotowanych do druku, leży w rękopisach w ukryciu bibliotecznem. Ale i dzieła Wiszniewskiego ogłoszone, z wyjątkiem „Historyi literatury polskiej,“ mało są znane i czytane, a czytane być powinny nietylko dla treści swej pouczającej, jasno wyłożonej, ale i dla pięknego języka i stylu.

G. Korbut.

[1]) W „Index lectionum“ na rok szk. 1848—49 jest uwaga: „Interim autem absentis munus vicarius obibit ab ordine propositus.“

[2]) We wstępie do „Myśli o ukształceniu siebie samego“ (1873).

[3]) P. Biegeleisen zapewnia czytelnika, że „początkowy ustęp tej autobiografii“ omija, ponieważ był już drukowany w „Myślach,“ ale faktycznie nie czyni tego i drukuje go po raz drugi, jako niby nieznany.

[4]) Anna Schugtówna, zmarła bardzo młodo (1835) poetka, pisząca pod imieniem Anny z Krakowa, była siostrą „Halki“ Edmunda Wasilewskiego.

ANTOLOGIA MAŁORUSKA.

Wik (1798—1898). Str. 464 i IX. Kijów, 1900.

Pięćdziesiąt nazwisk, drugie tyle portretów i krótkich wzmianek biograficznych, z górą trzysta utworów poetyckich, przytoczonych całkowicie lub w wybitniejszych ustępach, kilkaset winietek, wykwintny druk i nader staranna korekta — to materyał, który się złożył na księgę jubileuszową poezyi ukraińskiej. Zatytułowano ją *Wik*, co oznacza wiek, bo oto w r. 1898 sto lat upłynęło od czasu, kiedy ujrzał światło dzienne pierwszy drukowany poemat rusiński — *Eneida* Kotlarewskiego. Bezimienni redaktorowie antologii w sposób bardzo sumienny zgromadzili wszystko, w czem się mogły uwydatnić cechy zasadnicze liry ukraińskiej. Nie zapomniano, zdaje się, ani o jednym — bodaj trochę wybitniejszym poecie. Przeciwnie — obok głośnych imion Szewczenki i Franki, Szaszkiewicza i Kostomarowa, umieszczono tu wiersze mniej słynnych — Kuźmenki i Aleksandrowa; obok stuletniej poezyi Kotlarewskiego i dobiegających tego sędziwego wieku utworów Hułaka-Artemowskiego znaleźli tu miejsce najmłodsi gęślarze— Lesia Ukrainka i Czerniawski. Wydawnictwo dopięło celu. Daje ono czytelnikowi ogólne, ale zgodne z prawdą wyobrażenie o tem, jakiemi szlakami i ścieżynami kroczyła poezya narodu w ciągu stulecia i jaką puściznę zostawiła po sobie wiekowi XX.

„O zielonych ogrodach i o łąkach kwiecistych u nas dawniej przy kobzie śpiewano, ale dziś już milczymy — niby we śnie wieczystym — i nie mamy ochoty do śpiewu.“ Tak mówi zmarły przed kilku laty Pantalejmon Kulisz w wierszu umieszczonym na wstępie do księgi. Trudno się z nim zgodzić. Zaprzecza temu cały *Wik*. Małorosyanie nie strzaskali swej liry, i dziś, jak ongi—za czasów Sahajdacznego, zwierzają się jej ze swej doli i niedoli. Tylko— inne czasy, inne pieśni. Niema już tych bohaterów narodowych, co to „zamieniali żonę na tytuń i fajkę“ i szli, gdzie ich czekała śmierć albo sława. Nie żegna już spłakana dziewczyna młodego kozaka, który jedzie bić się z Lachami czy Turkami. „A jeżeli kto czasem—ciągnie Kulisz— słyszy nasze piosenki, to go pieśni te zgrozą przejmują: niby puszczyk wśród zwalisk o północy chychoce, niby ptak jakiś jęczy złowróżbnie.“ Tak, kirem smutku przesłonięte są stronice *Wieku*. I smutek ten nie wyłonił się sam z siebie, bo bujne łany ukraińskie, wysmukłe topole i gaje wiśniowe potrafiłyby natchnąć melodyą szczęścia i wesela. Tak to się już złożyło.

Rysem znamiennym poezyi małoruskiej jest jej charakter wyłącznie prawie ludowy, chłopski. Pod tym względem niewieleby się znalazło punktów stycznych pomiędzy nią a którémkolwiek z piśmiennictw zachodnio - europejskich albo z literaturą polską. Jeszcze do niedawna ludowi małoruskiemu brakło warstw inteligentnych, a i dziś ukształcony Ukrainiec, gdy zatraca łączność z ludem, przestaje być Ukraińcem. Język *Wieku* niewiele się różni od mowy ludowej. Dopiero w nowszych utworach daje się zauważyć dużo neologizmów i wychylanie się po za szranki słownictwa wiejskiego. Sposób rymowania—zwłaszcza w utworach dawniejszych — zawiera sporo pierwiastków poezyi ludowej. Czytelnika polskiego, zepsutego wyszukaną techniką Słowackiego, Tetmajera, Langego i Przesmyckiego raziłoby to przeplatanie strof rymowanych wierszem białym, obficie zastosowywane licencye, używanie końcówek blizkobrzmiących zamiast jednobrzmiących, wreszcie nadmiar rymów t. zw. częstochowskich. Nawet Szewczenko posługuje się bardzo często jednakowemi zakończeniami czasowników w osobie trzeciej albo tymi samymi przypadkami rzeczowników czy przymiotników. Młodsi, jak Franko, Samijlenko, Ołena Pszcziłka, Lesia Ukrainka, mają pod tym względem znacznie więcej skrupułów. Zresztą, ogólnie biorąc, wiersz małoruski jest przedewszystkiem toniczny, oparty na stale powtarzającym się stosunku brzmień mocnych i słabych, nie zaś sylabiczny, jak polski, którego siła w znacznym stopniu zależy od umiejętnego dobierania rymów. Poezya Szewczenki, pomimo wadliwej miejscami wersyfikacyi, jest piękna i potężna — może właśnie dlatego, że tyle w niej prostoty. Najbardziej wszakże demokratyczną jest lira małoruska ze względu na tło i treść jej pieśni. To, o czem śpiewał Szewczenko, Hułak - Artemowski, Hrabowski, Hrynczenko, może czytać i rozumieć lada wieśniak. Egotyczne wynurzenia wysubtelnionych dusz stanowią bardzo nieznaczną część utworów, zawartych w *Wieku*; przeważają tematy o zabarwieniu społecznem— umiłowanie kraju ojczystego, poczucie obowiązku względem niego i skarga na krzywdy i nędzę. Szewczenko, któremu młodość spłynęła w „piekle“ stosunków pańszczyźnianych, do końca życia gorzko złorzeczył niewoli i nad grobem prawie wołał: „Straszno dźwigać kajdany, umierać w niewoli, ale cięższej— będąc wolnym, nie budzić się ze snu.“ „Moje pieśni — powiada Iwan Franko — snuje niezmordowany robotnik — smutek, bo moja niewola i niewola mego narodu—to matka tych tęsknych dumań.“ „Kiedy młodzieńcza siła więdnie, a złe się wzmaga i natrząsa — przypomina Starycki — nie o kochaniu, nie o raju, pieśniarzu, śpiewaj nam.“ Gorące przywiązanie do ojczyzny bije z bardzo wielu kartek *Wieku*. Najczęściej są to utwory głębokie, szczerze odczute, czasem — satyra, ostra, nieubłagana satyra, co niby się uśmiecha, a jednak gryzie i pali. Niektórych wszakże autorów prowadzi ten temat na manowce czczej egzaltacyi i szumnych frazesów. „Drogi stepie! — skarży się Aleksandrow — Ty nie wiesz, ile jest zepsucia i brudu w naszym świecie, zalanym obłudą, próżnością i nędzą! Straciłem tu wiarę w prawdę, spaczył mi się rozum, ogarnął mię smutek — i oto z sercem pękniętem idę do ciebie, mój stepie... Obym mógł zapomnieć o tem wszystkiem, obym mógł otrząsnąć z siebie to wszystko, stepie mój — mój ojcze, matko-Ukraino!“ Taką nadmierną pedalizacyą i pochopem do *forte* i *fortissimo* grzeszy jeszcze kilku poetów z *Wieku*.

Jak relikwia, którą trzeba szanować i zachować, opiewana jest i broniona mowa ojczysta. Bo też służy ona za symbol i hasło, narzędzie i sprawdzian odrodzenia narodowego. „Mowa ojczysta, słowo ojczyste — kto was zapomni, ten kamień ma w piersi, nie serce“ — mówi Worobkiewicz. Marcyan Szaszkiewicz, pierwszy pisarz małoruski w Galicyi, napisał taki naiwny wierszyk: „Ruśka maty nas rodyła— ruśka maty nas powyła — ruśka maty nas lubyła — czomuż mowa ij no myła?—czom stydatys iji majem? — czom czużuju polublajom?...“

Analogie i tradycye dziejowe nasunęły kilku poetom myśl zwrócenia się do Polaków i Żydów. „Choć Kozak bez litości wieszał Żyda, a Żyd nie życzył dobrze Kozakowi, niech pójdzie w niepamięć ta smutna przeszłość.“ Gdzieindziej—w wierszu panslawistycznie usposobionego p. Staryckiego skierowane są do Polaków takie słowa: „Bracie Lachu, czyż wiecznie mają trwać pomiędzy nami niesnaski?... Myśmy składali kości w obronie tylko tego, co nasze, kiedy nam krzywda się działa. Nigdyśmy nie igrali z kajdanami, nie gwałciliśmy cudzej wolności!“ Stary Szew-

czenko z goryczą wymawia księżom i magnatom, że najechali Ukrainę i poróżnili ją z Polską, ale do współczesnych Lachów przemawia w taki sposób: „Tak, Lachu-bracie, druhu!.. wyciągnij rękę do Kozaka i serce czyste otwórz — i znów niech ziści się w imię Chrystusa nasz cichy raj.“

Im bliżej do ostatniej stronicy, tem liczniejszemi się stają erotyki i liryki w ogólności. Poezya ukraińska ulega różniczkowaniu. Potrzeby duchowe warstw ukształconych wytworzyły — tak samo, jak znacznie wcześniej u innych narodów — odrębną poezyę, którejby już nie zrozumiał i do którejby nie mógł czuć pociągu ten oracz, co to „stłumiwszy w sercu ból i nie złorzecząc losowi orze pole, ale pole — nie swoje.“ Wytworna improwizacya Lesi Ukrainki o magnolii, co się tkliwie chyli ku cyprysowi, nieprędko chyba zbłądzi pod strzechy. Wszelako udaje się czasem poetom małoruskim oddawać bardzo subtelne nastroje w formie bardzo prostej. Hlibow-Kobzarz—ze starszego pokolenia — wybornie ujął w bezpretensyonalne zwrotki popularnej piosenki nieuchwytny żal za tem, co było, przeszło i już się nie powtórzy. Nad rzeką szumią wierzby, jak gdyby się żaliły, że przeminie lato, wiatr zerwie liście a woda je uniesie. „Do ciebie moja rzeczko, powróci jeszcze wiosna. A młodość... już nie wróci. Nie wróci już — nie wrócił...“

Siedemdziesiąt lat temu Rusini galicyjscy wstydzili się języka ojczystego. Gdy kilku pionierów odrodzenia narodowego zaczęło wygłaszać kazania kościelne po małorusku, to się śmiano z tych dziwactw. Po licznych pieśniach i legendach, które snuła twórczość ludowa, po nieznanych śpiewakach doby dawniejszej, ostatnie stulecie wyłoniło cały zastęp poetów, którzy nie wypuścili z ręki kobzy ukraińskiej. Wiekowi XX przekazali w puściźnie pokaźny dorobek poetycki.

A. R.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

POWIEŚĆ. Gjellerup Karol: „Minna,“ tł. Wanda Dalecka str. 327. Lwów. Altenberg.

— Laskowski Kaz.: „W ojców ślady,“ str. 143. Dubowski, c. 60 kop.

DRAMAT. Feldman Wilhelm: „Cudotwórca.“ sztuka w 4 aktach, str. 121. Lwów. Altenberg

— Ibsen H.: „Gdy się zbudzimy z pośród zmarłych,“ tł. z francus. (?) J. Puzyna, str. 72 (na rzecz Tow. op. n. nieulecz. chor. m. Warszawy), c. 75 k.

MEDYCYNA. Dr. Uhma: „Syfilidologia“ (część ogólna), str. 246. Lwów. Tow wyd. Sadowski.

— Jaworski J.: „O powikłaniach ciąży, porodu i połogu wadami serca“ (odb. z „Kron. lekars.“), str. 15.

— Dr. Biernacki Edm.: „Die moderne Heilwissenschaft, Wesen und Grenzen des ärztlichen Wissens,“ tł. dr. S. Ebel. Lipsk. Teubner.

ETYKA. Höffding H. prof: „Zasady etyki,“ 1) tł. J. W. Dawid, str. 61, nakł. *Głosu*. 2) tł. Z. Daszyńska, str. 62, wyd. *Przegl. filozoficz.*

PRZYRODOZNAWSTWO. Nusbaum Józef prof.: „Z zagadek życia“ (szkice z dziedziny biologii). Lwów. Altenberg, str. 205, c. 60 k.

— Błażek Bolesław: „Studya psychometryczne,“ str. 126. Lwów. Tow. wydaw.

STATYSTYKA. Załęski Witold: „Królestwo Polskie pod względem statystycznym.“ Cz. II. Statyst. zajęć i przemysłu, str. 225. Wyd. Kasy Mian. c. 1 rb.

— Parczewski Alfons: „O zbadaniu granic i liczby ludności pols. na kresach obszaru etnograficznego polskiego.“ (Odb. z *Dzien. pozn.*), str. 40.

PUBLICYSTYKA. Koskowski Bol.: „Wychodźtwo zarobkowe włościan w Kr. Pols.“, str. 63. Sadowski.

— Koleżak Wład.: „Powiśle Warszawy.“ Nakł. Sikorskiego, c. 50 kop.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Zabory i tryumfy przemysłu teutońskiego.

I.

Donkiszoterya wojenna Niemiec sprawia w zestawieniu z tryumfami ich przemysłu wrażenie arcykomiczne, co więcej — tragikomiczne. Od trzydziestu lat wywijają Niemcy groźnie swą szablą, wołając, iż nie boją się nikogo, prócz Boga, od lat dwudziestu zbroją się w najlepsze, chcąc zaimponować światu swą potęgą wojenną, od lat dziesięciu opiewają swe dokonane i przyszłe tryumfy, a jednak z tej wielkiej chmury spadło dotychczas kilka letnich kropel zdobyczy kolonialnych. Skrawki kolonialne, wyłudzone tu i owdzie za sowitą zapłatę, dotychczas tylko powiększyły— wywóz prochu dla polujących na dwunożną zwierzynę, atramentu dla urzędników i gorzałki, jako środka osłody niemieckiego panowania, dla tubylców. Już Bismarck za swych późniejszych czasów, pomimo że zadzierał to z Hiszpanią, to ze Szwajcaryą, doznawał krok za krokiem sromotnych porażek dyplomatycznych. Caprivi zupełnie wyrzekał się pochodów zwycięzkich, a jego następcy wystarczały apoteozy oręża niemieckiego w sztukach teatralnych Laufa i spustoszenia armat kotylionowych na balach. Tymczasem przemysł, który lekceważono, jako dziecko rodziców plebejuszowskich, z którym godzono się jako ze złem koniecznem i chwilowem źródłem zysków, uratował honor Niemiec i reputacyę ośmieszoną urzędowymi hejnałami wojennymi. Niepostrzeżenie i z iście niemiecką wytrwałością rozlewał on po całym świecie swe wytwory, zapychał nimi wszelkie luki rynkowe i wypierał w sposób łagodny rywali. Robił on to tak łagodnie, iż towarom niemieckim otwierano naoścież wrota celne i przyjmowano jako dar kultury niemieckiej. Lecz dar ten okazał się darem Danaów. Pierwsi poznali się na koniu trojańskim z nad Renu i Sprewy — Anglicy.

Już w 1887 r. Anglicy, wychodząc z założenia, iż towary niemieckie cieszą się pokupem tylko dzięki temu, że występują na rynku w przyłbicy, zaprowadzili paszport dla wyrobów obcych. Odtąd towary miały ukazywać się publicznie, jak Żydzi średniowieczni z żółtą łatą na grzbiecie. Łatą tą miał być napis lub plamka, świadcząca o obcem pochodzeniu napływowego żywiołu. W ten sposób zaapelowano do patryotyzmu obywatela Albionu, który miał na przyszłość unikać wstrętnego „fabrykatu niemieckiego,“ czyli wszystkiego, co będzie ostemplowane „Made in Germany.“ Że kupiec i fabrykant grzeszy żyłką kosmopolityczną, gdy idzie o wypełnienie sakiewki, to rzecz wiadoma, ale spożywca — chyba pokaże drzwi natrętnym szwabom i zmusi ich stopniowo do odwrotu! Prawo odnośne obwarowali Anglicy karą 2 lat więzienia, poczem, pełni otuchy, pozostawili rzecz własnemu jej biegowi. W ten sposób święta tradycya wolnego handlu została napozór nietknięta, a jednocześnie pozbyto się szkodliwych intruzów i konkurentów. Upłynęło kilka lat i opinia publiczna ukołysana wiarą w patryotyzm spożywcy, przeszła nad sprawą do porządku dziennego, aż w r. 1896 Anglik Williams, odczuwając potęgę najazdu niemieckiego, ze wszystkich sił uderzył w dzwon alarmowy.

Praca jego, wydana potem wielokrotnie i przetłomaczona na rozmaite języki europejskie, nosi tytuł „Made in Germany“ („Fabrykat niemiecki“), a treść jej ma naocznie dowieść Anglikom, iż ich rynek krajowy został wydany na łup Niemcom. Nie lepiej dzieje się z ich posterunkami krajowymi za granicą. Jeśli dziś jeszcze Anglia cieszy się sławą królowej mórz i możnowładczyni handlowej, to jest to puścizna po dawnych dobrych czasach, kiedy korzystając z walk międzynarodowych na lądzie i nie dbając o wawrzyny wojenne, zagarniała ona najlepsze kęsy handlu wszechświatowego. Maszyny angielskie, szyny, garnki i armaty rozniosły sławę przemysłu angielskiego po całym świecie. Od r. 1793 do 1815 wywóz ich towarów wzrósł z 17 do 58 milionów f. st. Lecz dziś pozostał tylko cień owej przeszłej potęgi. Od czasu rewolucyi niemieckiej datuje się stopniowy upadek majestatu angielskiego. „Przyjrzyj się sobie lepiej — brzmi w skróceniu ustęp, który w Anglii sprawił wrażenie pękającej bomby — a okaże się, iż sukno twej garderoby pochodzi prawdopodobnie z Niemiec. Pewnie i materyał na suknie twej żony przywędrował stamtąd; z pewnością zaś żakieciki i płaszczyki, w których paradują twoje dzieci w niedzielę, zostały zrobione i kupione w Niemczech. Twoja guwernantka ma narzeczonego — z pewnością jest on „niemieckim fabrykatem.“ Zabawki, bajki i lalki twych dzieci są towarem niemieckim, papier, na którym drukowaną jest twoja patryotyczna gazeta, tam ujrzał światło dzienne. Sprzątnij dom swój, a ta nieszczęśliwa plomba niemiecka przywita cię z każdego kąta“ — itd. Autor pokazuje tedy czytelnikowi, jak cała otaczająca go kultura, cały komfort są dziełem rąk niemieckich. Nieszczęsna marka „Made in Germany“ stała się heroldem rosnącej potęgi, która wyzwała do turnieju ekonomicznego Anglię. A działo się to tak wolno, iż uszło uwagi najczujniejszych patryotów angielskich. Na wszystkie strony rozesłali Niemcy swych synów na zwiady przemysłowe: uczyli się oni wszystkich języków, poznawali potrzeby krajowców i ich gusty. Agenci niemieccy wyprowadzili wszędzie na pokaz towary ojczyste; dyplomaci ich zyskali dla swego państwa szereg wysoce pomyślnych traktatów handlowych, a kapitaliści zapędzają w kozi róg przemysłowców całego świata tem, iż zadawalają się mniejszym procentem. Niemcy nietylko podbili wewnętrzny rynek Anglii, ale wyrugowali ją, jako pośredniczkę w handlu międzynarodowym. W Anglii kupowano dawniej kawę arabską, rodzynki greckie i bawełnę amerykańską, dziś Niemcy sami ofiarują te artykuły. A zaczepność niemieckiego przemysłu rośnie z roku na rok. Doszło już do tego, że wzięli oni przebojem najniedostępniejszą twierdzę przemysłu angielskiego: fabrykują stal i żelazo, a więc uprzywilejowane wyroby angielskie, w doskonałych gatunkach i olbrzymiej ilości. Ruch morski Niemiec idzie już w zawody z angielskim. W r. 1893 po raz pierwszy port hamburski prześcignął po tym względem Liverpool. Nie będziemy tu dalej szli za Williamsem, gdyż nas szczegóły te nie obchodzą, a praca jego ma dla nas znaczenie tylko symptomatyczne. Dość że na 175 stronicach autor z cierpliwością benedyktyńską nagromadził stosy faktów statystycznych, które najniewierniejszego Tomasza mogą przekonać o grozie niemieckiej nawałnicy. Wszędzie prześwieca „smutna“ myśl, iż Anglia, ów kraj handlu i przemysłu z bożej łaski, musi swą palmę pierwszeństwa ustąpić parweniuszowi, który dobił się władzy wytrwałością i przebiegłością. Zwłaszcza nęka autora nieudolność dyplomatyczna Anglii w zestawieniu ze zręcznością Teutonów.

Książka Williamsa ukazała się, jakeśmy rzekli, w r. 1896. Dziś lamenty te są przestarzałe, albowiem sam akt oskarże-

nia zawiera fakty nieodpowiadające rzeczywistości. Od tego czasu Anglia pozostała jeszcze bardziej w tyle za Niemcami, mknącymi naprzód w swym rozpędzie przemysłowym.

H. Forszteter.

NOWY SYNDYKAT.

Na posiedzeniu styczniowem w sekcyi rolnej p. Stanisław Czekanowski ostrzegł ziemian naszych przed grożącem niebezpieczeństwem ze strony wytwórców nawozów sztucznych, którzy po porozumieniu z sobą znacznie podnieśli ceny swych produktów. Niebezpieczeństwo to p. Czekanowski przewidywał jeszcze przed trzema laty i proponował środki zaradcze. Ziemianie nie wzięli zbyt gorąco do serca tych przestróg. Pomimo to sprawę przedstawiono sferom ministeryalnym i wyjednano zniesienie cła, ale tylko od saletry i soli potasowych. Nie zdołano atoli wyjednać takich ulg dla fosforowych, dzięki temu, iż fabrykanci, przy poparciu p. Mendelejewa, bardzo energicznie bronili swej sprawy. Żądali oni opieki celnej tylko tymczasowo, na parę lat, tj. do czasu wzmocnienia się należytego. Obecnie zaś rozwinąwszy swe przedsiębiorstwa, nietylko nie zrzekli się tej opieki, lecz nadto zsolidaryzowali się, ażeby wyzyskać chwilę wysiłku rolników, którzy walcząc z przesileniem i ciężkimi warunkami bytu, rzucili się do gospodarki intensywnej, wymagającej między innemi znacznej ilości nawozów sztucznych. Wzmożony popyt na ten produkt dał sposobność fabrykantom do zmowy na niekorzyść ziemian. Na niebezpieczeństwo zwróciło najpierw uwagę siedleckie Towarzystwo rolnicze. Następnie zaś uderzono na trwogę w warszawskiej sekcyi rolnej i dziś już cały kraj jest zaalarmowany.

Zmowa przypadła akurat na tę chwilę, kiedy gubernialne towarzystwa i syndykaty rolnicze rozwinęły swoją działalność i na pierwszym planie zadań postawiły usuwanie kosztownego pośrednictwa i dopomaganie ziemianom do nabywania tanio wszelkich środków technicznych produkcyi rolnej. Fabrykanci nawozów sztucznych wybornie zrozumieli niebezpieczeństwo, grożące im z tej strony, więc postanowili sparaliżować tego rodzaju działalność towarzystw i syndykatów rolnych. Mianowicie podyktowali im o wiele uciążliwsze warunki, niż swoim agentom. Syndykaty rolne, pośredniczące w nabywaniu nawozów sztucznych, muszą żyrować weksle odbiorców i korzystają z bardzo drobnych ustępstw, prawie nie mających żadnego znaczenia. Syndykaty rolne obliczają, że gdyby wobec takich warunków zawiódł tylko jeden nabywca, nie opłaciłoby się wcale pośrednictwo handlowe pomiędzy rolnikami a fabrykantami nawozów sztucznych.

Rolnicy, rozejrzawszy się w groźnym stanie rzeczy, postanowili przedsięwziąć energiczne kroki celem obrony własnej. Przedewszystkiem uciekają się do środków, wypróbowanych za granicą. W Niemczech np. przeciwko takiej samej zmowie fabrykantów wystąpiło Towarzystwo rolnicze, które zobowiązało wszystkich ziemian do nabywania nawozów tylko za jego pośrednictwem. Dzięki temu fabrykanci musieli przyjąć takie warunki, jakie im Towarzystwo podyktowało. P. Czekanowski na posiedzeniu sekcyi doradził, ażeby nasi ziemianie poszli za przykładem rolników niemieckich. Niezależnie od tego można rozwinąć inne środki przeciwdziałania. Tak np. p. Dzierzbicki proponuje, ażeby nasi ziemianie zwrócili się do wszystkich towarzystw rolniczych w całem państwie i wspólnie z nimi wyjednali w sferach właściwych zniesienie ceł od nawozów sztucznych. Cele fiskalne tym razem nie staną na przeszkodzie, gdyż cła od nawozów sztucznych przynoszą skarbowi stosunkowo bardzo mały dochód. Wreszcie postawiono jeszcze trzeci wniosek: ograniczyć używanie superfosfatów, które wybornie można zastąpić żużlami Thomasa. Produkt ten nie jest u nas wyrabiany, a więc zniesienie cła od niego można wyjednać tem łatwiej, gdyż fabrykanci na swoją obronę nie mają takiego silnego argumentu, jak poparcie przemysłu krajowego za pomocą ceł ochronnych.

W kraju naszym istnieją dwa towarzystwa, wyrabiające nawozy sztuczne: łowickie i strzemieszyckie. Alarm, wszczęty przez rolników, zaczyna już wywoływać wyjaśnienia także ze strony fabrykantów. Tak np. łowiccy twierdzą, że podniesienie cen nawozu nastąpiło nie za pomocą „zmowy,“ lecz „porozumienia,“ mającego na celu „wszechstronny rozwój ekonomiczny kraju.“ Wyjaśnienie znamienne, ale zarazem i naiwne! Przypomina ono chłopa, właściciela mieszkań letnich, który na pytanie, po co ścina drzewa, dające cień przy domach, tłomaczy się, że chce dać możność rozrastania się krzakom. Na obronę swoją fabrykanci podają jeszcze przyczyny, na które zwykle się powołują syndykowani przedsiębiorcy: podrożenie wszelkich środków i materyałów produkcyi. Podrożenie to niewątpliwie istnieje, ale chyba nie w takim stosunku, w jakim fabrykanci podnoszą ceny nawozów: 20—30%! Bądź co bądź, obrona rolników jest całkiem uzasadniona i życzyć im należy zwycięstwa.

O prawdę.

„Porachunki“ z p. Sygietyńskim za jego „porachunki“

(Dokończenie).

Odmówił mi p. Syg. jeszcze logiki. Dał tylko jeden dowód — i znowu fałszywy. Wydrwił „rozbudzony ze snu sznur,“ podczas gdy w przekładzie mowa jest o „sznurze widm rozbudzonych ze snu.“ Nazwał mnie wierszokletą tłukącym się bidą od rymu do rymu, używającym rymów „operetkowych.“ autorem pracy, jaka nie pojawiła się od czasów Sotera Rozbickiego. A dowód? Użyłem „operetkowych“ rymów „śpiew — wiew,“ „tuż — już“ t. j. tych, które znajdują się... w psalmach Krasińskiego.

Oburzył się, że „co scena, co twierdzenie, używam słowa: wszak.“ Użyłem tego wyrazu, mającego prawo obywatelstwa w naszym języku—o zgrozo! *aż 6 razy na 96 stronicach druku.* To chyba nie tak wiele, aby sumienny krytyk miał prawo zawołać: „aż niedobrze się robi!“ (Niedobrze się robi, gdy się słucha kłamstw, panie Sygietyński!).

Odmówił mi „dobrego wychowania.“ Filister Pasquinot w moim przekładzie nazwał córkę swoją „Kapuścianą główką“ (W oryginale jest „główka maku“). Krytyk nie wie, że w samym utworze filister Bergamin nazywa syna swojego „moutardier,“ a Pasquinot dodaje coś tak niesmacznego, że „nieprzyzwoity“ tłomacz *Romantycznych* nie waży się tutaj przytaczać nawet francuskiego tekstu. Rzucił się na mnie krytyk za użycie w poetycznym utworze raz jeden słowa „ musztarda.“ Rostand używa go... cztery razy. Oto z jaką znajomością oryginału przystępuje do krytyki przekładu p. Sygietyński!

Ku mocniejszej kompromitacyi „niearyjskiego“ tłomacza zarzucono mi, że nie znam wyrażenia Anioł Pański, zastępując je jakoby „dzwonieniem wieczornem.“ W tem miejscu, gdzie w oryginale na wyrażeniu tem położony jest akcent, czytelnicy znajdą je w przekładzie (str. 90). W innem jest mowa o „dzwonieniu z wieży,“ a nie o „dzwonieniu wieczornem,“ przez co przekład chyba tak wiele nie ucierpiał.

Oto są wszystkie niemal potworności estetyczne i gramatyczne, na mocy których p. Syg. żądał zamiany mojego przekładu na inny i doradził spalić mój przekład!

Nie drakoński ton tej krytyki oburzył mnie; wolno ciąć moją pracę, ile się komu podoba; ale nie mogłem milczeć, gdy zarzucano mi „niemieckość“ myślenia, gdy poważano się z pewną złą wolą fałszować cytaty. Napisałem obronę. W ciągu dwuch tygodni dreptałem co kilka dni do redakcyi *Gazety polskiej*, zanosząc prośby o wydrukowanie mojego artykułu. O trudnościach, które napotkałem, nie mogę dać pojęcia czytelnikom. „Musimy uzyskać zgodę p. Sygietyńskiego!“ (Słyszycie? P. Syg. musi dać zgodę na sprostowanie swoich fałszów). „P. Syg. jest niezdrów“ (Nawiasem w tym czasie pisuje). Nakoniec „dobiłem targu“: p. Syg. zgadza się na wydrukowanie artykułu Pańskiego (z pewnemi skróceniami, bo jest za długi) pod warunkiem, że odpowie Panu i na tem zamknie się polemika, która nie może się bez końca przedłużać! I na ten „miły“ warunek przystał.

Zmuszony byłem wyjechać. Czekałem próżno kilka tygodni. Posłałem moją książkę p. Syg. z dedykacyą „Mojemu sumiennemu krytykowi“ aby go uchronić na przyszłość od fałszywych cytat. Posłałem list, w którym z niejaką ironią zaznaczyłem zdziwienie, że p. Syg. sam nie nalega na prędsze wydrukowanie moje obrony jak sumiennemu krytykowi przystało. Wreszcie nazajutrz po artykule w *Gaz. polskiej*, w którym ogłoszono, jaką to pochodnię wiedzy i myśli opatrzność podarowała nam w osobie p. Syg., zjawiła się moja obrona... oczywiście obcięta nieco ad gratiam krytyka *Gazety* *). Tuż za obroną następowało i „słówko odpowiedzi“ (str 32).

P. Syg. nie mówił już, po cytacie mojej z Mickiewicza, że „wszak“ nie może stać w środku zdania. Wyjaśniał natomiast mnie i ciekawym słuchaczom *Gazety*, że „wszak“ bywa spójnikiem i *przysłówkiem*! Ten wielki znawca gramatyki gotów jest w potrzebie dowodzić, że „Sygietyński“ jest przymiotnikiem. Ponieważ „dziennik nie jest katedrą,“ więc p. Syg. uchylił się od wskazania „rozdziału gramatyki,“ w którym wskazane jest, kiedy używać należy „wszak,“ jako przysłówka na drugiem miejscu, a kiedy, jako spójnika, na pierwszem. I pomyśleć, że tak bałamuci się u nas opinię w celu zeskamotowania dowodów swojego nieuctwa!

W przekładzie, przy wyliczaniu wzorem Rostanda znanych powszechnie par kochanków, poważyłem się, w zastępstwie mniej znanych publiczności naszej Rolanda i Andy, nazwać Rafaela i Stellę. Z odpowiedzi p. Syg. dowiedziałem się, że podstawiłem „parę gamracką.“ Jeżeli zważyć, że nasz Syrokomla wyidealizował tak pięknie Fornarinę, że ona „natchnieniem była Rafaela.“ — to zdumieć musi nas cynizm i bezwstyd pseudo-estetycznego krytyka, który, ażeby ukłuć tłomacza *Romantycznych*, pozwolił sobie nazwać Stellę i Rafaela — „parą gamracką,“ czemś w rodzaju kucharki i strażaka

Niepodobna przytaczać wszystkich dziwolągów krytycznych. Powiem krótko: p. Syg. w konkluzyi polecił mi spalić mój przekład dla dobra literatury. Stosownie do „warunków“ — nie odpowiedziałem nic. Zapomniałem i o swoim przekładzie i o... p. Sygietyńskim. W milczeniu przyglądałem się innym drobnym wybrykom, których powodem była wciąż ta sama zbrodnia—przekład *Romantycznych*, której „społeczeństwo“ nie mogło mi wybaczyć. Oto w ręce wpadł mi numer *Biesiady Literackiej*, (Nr. 25 z 1899 r.), w którym na kilku szpaltach pomieszczono ustęp z mojego przekładu. Zatytułowano go „Teatr łódzki,“ nie zapytano tłomacza o zezwolenie: ale... za to nie raczono nazwać tłomacza. (Tłomaczenie, widocznie podobało się: tłómacz — nie!) Milczałem. Zanotowałem sobie tylko w pamięci, jakie są w naszej prasie pojęcia o własności literackiej

Teatr krakowski wystawił mój przekład. Niejaki p. Włodzimierz Lewicki w Nr. 17. krakowskiego *Głosu narodu* oddał pochwałę tłomaczeniu, zaznaczył, że jest „dźwięczne i bardzo ładne,“ i... zląkłszy się, że pochwalił jakiegoś nieznanego mu Belmonta, dodał w nawiasie: „dzięki poprawkom, dokonanym przez jednego z literatów krakowskich, artystów i dyrektora Kotarbińskiego.“ Risum teneatis amici! tajemniczy literat krakowski cudotwórczemi poprawkami z lichoty robiący „bardzo ładne i dźwięczne tłomaczenie!“ Cały personel teatru krakowskiego w roli literatów! Dyrektor, tłomaczący jeszcze raz to, co przetłomaczonem było, i poczynający pisać wiersze, których dotąd, o ile wiem, nigdy nie pisał! **) Zainterpelowałem p. Kotarbińskiego. Wyraził on w odpowiedzi do mnie zdziwienie z powodu wzmianki w *Głosie narodu* i doniósł mi, że poczynił tylko drobne zmiany reżyserskie i skrócenia koniecznie ze względu na rozmiary sztuki Zmilczałem i tym razem. Nie chciałem podejmować Syzyfowego trudu błagania o „sprostowanie.“ Zapamiętałem sobie, co rzekła mi p. Marrené „Praca Pańska sama się broni.“

---

*) Wypadło w kilku miejscach, że nie bronię się, lecz tylko powtarzam z uznaniem zarzuty krytyka.

**) P. Kotarbiński zaaprobował mój przekład już po przyjęciu go przez pp. Wołowskiego i Rapackiego, którzy nic nie przerabiali. P. Rapacki mówił mi, że z trzech nadesłanych mu przekładów oddał pierwszeństwo mojemu.

I byłbym milczał o tem i dziś — i zawsze, gdyby po *jedenastu miesiącach* nie zaszedł fakt, który dowiódł mi, że bandytyzm, ośmielony bezkarnością, szerzy się w prasie naszej bezustannie, że znęcanie się nie ma kresu. Ja, pokrzywdzony, uspokoiłem się. Ale mój krzywdziciel nie zdołał się uspokoić.

P. Syg. znużony pisaniem 70 razy do roku o p. Kruszelnickiej w „Halce“ (jest to jedyny przedmiot czci dla tego „pogromcy“ Paderewskiego i Konopnickiej), postanowił swoje piękne pióro, opowiadające nam o „szczypanych dźwięcznie arfach“ poświęcić *nowemu* tematowi. Po jedenastu miesiącach napisał w *Kuryerze warszawskim* znowu .. o przekładzie *Romantycznych*. Sądziłem, że strawił ten temat dawno. Ale p. Syg. należy widocznie do przeżuwających.

Słówko o stosunku *Kur. warsz.* do mojego niefortunnego przekładu. Po wystawieniu *Romantycznych* w Bagateli p. W. R. napisał w Nr. 158 entuzyastyczną recenzyę. Recenzent, słuchając sztuki, zapominał „o twardych krzesłach,“ „rozpływał się w cudownych melodyach sztuki,“ podziwiał „ten śliczny, cichutkiem uśmiechem opromieniony poemat,“ słuchał „tych ślicznych, perłowych dyalogów,“ napawał się „kończącem sztukę misternie rzeźbionem boniment“ — ale w recenzyi swojej nigdzie nie raczył nazwać tłomacza. Kategoryczny bowiem imperatyw *Kuryera* brzmi: strzeż się wyrazić słówko uznania względem autora lub tłomacza, niemającego „marki.“ Tym sposobem tłomaczenie pochwalone zostało tylko ukośnie, że tak powiem, mimowoli. Wszystko dla tłomaczenia, które, jak widać z powyższych cytat, sprawiło dobre wrażenie i nic — dla obcego *Kuryerowi* tłomacza.

Po wystawieniu sztuki w Teatrze Rozmaitości ukazała się w *Kur. warsz.* nowa recenzya pióra p. W. Bogusławskiego. Tym razem nazwisko tłomacza, jako rzecz według pojęć *Kuryera* zbyteczne, nie znalazło się *nawet w tytule*. W recenzyi mowa jest o tem, że „ze świata wiosna wtargnęła do teatru,“ że „najwdzięczniej grały wiersze Rostanda.“ W zakończeniu wspomniano, że artyści „doskonale stylizowali wytworny (w oryginale) wiersz Rostanda.“ Mógłbym mniemać, że krytyk mówi te słowa z przekąsem, i powołać się na to, że raczej tłomacz stylizował, niż artyści, oraz że ci artyści grali przekład, a nie oryginał. Ale porzucam podejrzenie przekąsu wobec tego, że p. W. Bogusławski, pisząc następnie recenzyę *Romantycznych* w *Tygodniku ilustr.* zaznaczył, że „ze sceny słychać stanowczo piękny wiersz.“ Wprawdzie w *Kuryerze warsz.* krytyk zarzucił mi, że źle przetłomaczyłem tytuł: *Romantyczni*, ale w *Tyg. ilustr* wskazał, że wszyscy bohaterowie tej sztuki są „romantyczni,“ czem sam mnie usprawiedliwił. (Jak to dobrze, że u nas ciż sami krytycy pisują o jednym przedmiocie do kilku pism).

I oto *Kuryer warsz.* po wszystkiem, co wyżej, jeszcze raz zaszczycił mnie... „krytyką“ *Romantycznych*. Tym razem już o „perłowych dźwiękach poezyi“ i o „dźwięcznie grających wierszach Rostanda“ na scenie polskiej mowy niema. Tym razem jestem już nazwany *en toutes lettres*. Pisze bowiem p. Sygietyński. Po jedenastu miesiącach znowu domaga się on nowego przekładu. Rozgniewany na dyrekcyę teatru, że nie słucha jego wskazówek (o zgrozo! daje ona *Romantycznych* ciągle w moim przekładzie i dotąd nie urządziła „basenu ze złotem jajkiem na strudze wody,“ jak „kazał“ p. Syg.), porąbał on bez litości wszystkich artystów, których gra w sztuce Rostanda niegdyś pochwaloną była w tym samym *Kuryerze*.

W nowym swoim paszkwilu (*Kur. warsz.*, nr 339) p. Syg korzysta obficie ze swojego artykułu z *Gazety pols.*, znowu zarzuca mi częstość owego „wszak“ (co to szkodzi? przecie czytelnicy *Kuryera* nie znają mojej odpowiedzi z *Gaz. pols.*, a czy ja znowu będę się bronił i czy Kuryer zechce wydrukować moją obronę — to jeszcze rzecz niewiadoma!). W dodatku znowu przekręcona cytata. Brzmi ona: „upominam się o *moich tysiąc* franków.“ Nie wiem, o co chodzi p. Syg., czy jest to zarzut, ściągający się do „nieprawidłowości“ zaimka dzierżawczego, czy żądanie, abym użył jakiejś formy „równoległej.“ Może p. Syg. woli „mój tysiąc franków,“ a może „moje tysiąc.“ Wiem tyle, że w przekładzie moim (str. 69) Straforel w chwili zamętu woła z oburzeniem i niepokojem: „Mój rachunek! Zapłaćcie! Moich tysiąc franków!“ (a nie „upominam się *o moich*“) — i że wyrażenie to, gdy chodzi o podkreślenie *własności* (w zaimku) i przedmiotu (*w rzeczowniku*), jest zupełnie na miejscu (np. „moich tysiąc żołnierzy“ lub „tysiąc moich żołnierzy“; przestawienie w wierszu zawsze jest możliwem i zależy od tego, w jakim porządku słów większa wypadnie dźwięczność).

Widzimy więc, że sumienny krytyk w ciągu jedenastu miesięcy nic nie zapomniał i niczego się nie nauczył. Nie zapomniał nawet przekręcać cytaty.

To właśnie oburzyło mnie. Powiedziałem sobie: wszelki rozbój powinien mieć kres, nawet rozbój krytyków. P. Syg. mnie po obronie ponownej nie oszczędzi: on ma przyjaciół w prasie, a ja wydałem niedawno 3 tomy wierszy. Ale to nic nie szkodzi. Powinienem zaprotestować przeciw takiej manierze krytycznej.

Dla dobra ogółu, zaślepianego systematycznie przez takich p. Sygietyńskich, podjąłem ten ciężki obowiązek. Niechaj wszystko, co napisałem i napiszę kiedykolwiek, będzie „złe.“ Zgadzam się na to. Pozostaje jeden fakt niezbity, że skreślona wyżej metoda krytyki jest złem gorszem jeszcze. Złe dzieło — jest błędem. Ale fałszująca cytaty krytyka — jest trucizną. Żadna słabizna nie pociągnie na długo ogółu, nie utrzyma się. Ale w atmosferze zgniłej i zabójczej zamierać mogą młode talenty, którym zabraknie sił do walki. A takie siły w naszej epoce chwiejnych charakterów zdarzają się nieczęsto. I walka ta jest zbyt trudna i długa, a dla walczących bodaj zawsze bezowocna *).

Leo Belmont.

*) W poprzednim numerze w art. „Porachunki“ na str. 59, szp. 1, wiersz 26 od góry, wydrukowano mylnie: „tego stada“ zam. „tego stadu.“ Zarzut niegramatyczności poparty był właśnie cytatą: „tego [illegible]

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. W drodze składek publicznych międzynarodowych zebrano fundusz na wzniesienie pomnika zasłużonemu badaczowi społecznemu Emilowi Laveley'owi w uniwersytecie leodyjskim (Liege). Z funduszu tego pozostała niezużytkowana suma 17,800 franków, którą otrzymała Akademia belgijska. Z odsetków co lat sześć przyznaną będzie przez nią nagroda im. Laveley'a.

— W Zakopanem buduje się pod kierunkiem dr. Kazim. Dłuskiego sanatoryum dla suchotników.

— W ministeryum skarbu wykończono projekt tworzenia przy bankach państwowych izb rozrachunkowych, mających na celu ułatwienie obrotów pieniężnych.

— Dzienniki rosyjskie donoszą, że w Inkou i Niuczuanie w Mandżuryi rozkazano przyjmować ludności miejscowej bilety kredytowe rosyjskie.

Prasa. P. Alber wniósł do głównego zarządu prasy podanie o udzielenie mu koncesyi na wydawanie: *Warszawskiej gazety informacyjnej mieszka-[illegible]*

Zjazd. W Petersburgu 25 b. m. rozpoczął obrady zjazd przedstawicieli kolei i żeglugi parowej. Na zjazd ten udali się przedstawiciele łódzkiego okręgu fabrycznego. Chodzi o przeprowadzenie na zjeździe sprawy zniżenia taryfy od towarów łódzkich, wysyłanych kolejami do Odesy, a stamtąd do portów we wschodniej Syberyi i Mandżuryi. Wniosek swój reprezentanci przemysłu łódzkiego uzasadniają tem, iż wysokość taryfy jest na rękę konkurencyi zagranicznej, że więc zniżenie jej oddziała dodatnio na przemysł krajowy.

Nauka. Z inicyatywy prof. O. Balzera zawiązało się we Lwowie Towarzystwo popierania nauki polskiej, którego celem będzie: udzielanie pomocy materyalnej polskim badaczom naukowym, udzielanie zasiłków na badania archeologiczne, etnograficzne, studya w archiwach i bibliotekach, doświadczenia w zakresie nauk ścisłych, technicznych, urządzanie ekspedycyj naukowych, udzielanie zasiłków na koszta druku publikacyj naukowych. W razie zgromadzenia funduszów znaczniejszych zamierzone jest założenie własnej drukarni lub księgarni, budowa „Domu naukowego,“ przeznaczonego na pomieszczenie towarzystw naukowych. W opracowaniu statutu Towarzystwa wzięli udział delegaci wszystkich lwowskich Tow. naukowych.

— W lwowskiem Tow. historycznem prof. M. Karejew wygłosił w języku polskim odczyt „O studyach z zakresu historyi zachodniej Europy w Rosyi.“

Ruch kobiecy. Świeżo powstał w Niemczech związek zawodowy kobiet pracujących w przemyśle domowym (Konfekcya i szycie bielizny). Ofiaruje on swoim członkom darmą pomoc prawną, zapomogi na wypadek choroby, pomoc w poszukiwaniu pracy, bibliotekę i organ specyalny: *Die Heimarbei-[illegible]*

— W Neuchatel na skutek agitacyi znanego działacza szwajcarskiego na polu abolicyonizmu pana Meuron, członka komitetu wykonawczego Federacyi międzynarodowej utworzyło się „Societe de moralite publique et de vigilance.“

— Na politechnice w Darmsztacie (Hesya) w ogólnej liczbie 1,664 studentów uczy się 111 kobiet.

— W Holandyi agitują za reformą odzieży niewieściej. Związek odnośny liczy 818 członków i pracuje w kierunku zmian w celu uwzględnienia wskazań hygieny i estetyki. Przewodniczącą jest pani Boumann — de Lange w Amsterdamie.

— Oddział francuski Federacyi międzynarodowej zwrócił się z otwartym listem do wszystkich burmistrzów Francyi, w którym wyjaśnia, że opieka i nadzór policyjny nad domami rospusty i prostytucyą wogóle sprzeciwia się deklaracyi praw człowieka — i że opieka sanitarna jest najzupełniej chybioną. W końcu listu proszą burmistrzów o zniesienie domów rozpusty. — „Towarzystwo polepszenia losu kobiety“ urządza w bieżącym roku w różnych dzielnicach Paryża odczyty agitacyjne (o prawach politycznych kobiety itd.).

— W specyalnem piśmie angielskiem (*The Womens Industrial News*) domagają się oddania wszystkich zakładów prania bielizny pod dozór inspektoryatu zdrowia i fabrycznego. Ścisły dozór hygieniczny. Nieletni robotnicy mogą być dopuszczani do pracy tylko po złożeniu odpowiedniego świadectwa lekarskiego. Koniecznym jest zakaz pracy w dni świąteczne — ustanowienie normalnego dnia pracy — rekreacya w ciągu jednego popołudnia w tygodniu.

— Dr. Rina Monti objęła katedrę anatomii w Pa-[illegible]

Zmarli. 2 stycznia zmarła w Petersburgu Lidya Tugan-Baranowska, z domu Dawydowa. Córka dyrektora konserwatoryum, Karola Dawydowa, otrzymała staranne wykształcenie i skończyła wyższy zakład naukowy dla kobiet. Znała doskonale większą część języków europejskich i życie narodów europejskich. Prowadzona przez nią w miesięczniku *Mir Bożij* kronika tego życia przedstawiała zawsze szereg współczesnych ważniejszych wypadków, skreślonych żywo i owianych szlachetnem wysoce ludzkiem uczuciem. Prócz tego przetłomaczyła dużo dzieł naukowych, między innemi Lastera Warda *Psychiczne czynniki cywilizacyi*. Umiała po polsku i pierwsza zapoznała społeczeństwo rosyjskie z talentem Żeromskiego. Ale działalność jej nie ograniczała się sferą literacką. W wielu instytucyach, pracujących nad polepszeniem doli ludu, była tym cichym pracownikiem, który przechodzi nieznanym, gdyż dba wyłącznie o owocność wysiłków a nie o położenie na nim własnego stempla. Należała do feministek, ale do tego ich odłamu, który założył w Petersburgu „Klub dla służących i robotnic,“ oraz „Uniwersytet ludowy,“ co uczył w szkołach ludowych, dawał amatorskie przedstawienia w teatrach ludowych itd. L. T. B. szczerze wierzyła, że kobiety pomogą ludzkości dźwignąć się i otrząsnąć ze swych błędów, lecz szczerze kochała wszystkich ludzi bez względu na płeć, pochodzenie i wyznanie. (*W. S.*).

— Prof. Karol Hermite, matematyk, w Paryżu.

— Ludwika Godlewska, znana pod pseudonimem *Exterus* powieściopisarka — w Görbersdorfie.

— Józef Verdi, słynny kompozytor włoski, twórca popularnych oper (Rigoletto Trubadur, Violetta, Aida i in.) — w Medyolanie. Zmarły ufundował w ostatnich latach przytułek dla muzyków a przed śmiercią zapisał $2\frac{1}{2}$ mil. lirów na utrzymanie 60 artystów i 40 artystek muzycznych.

— Lissagaray, słynny działacz francuski, członek rządu narodowego w r. 1870, autor popularnych dziejów „Komuny,“ zm. 26 stycznia w Paryżu.

— Maurycy Block, znany i u nas z przekładów ekonomista i statystyk francuski, przedstawiciel najskrajniejszego kierunku ortodoksyjnego, główny filar *Journal des Economistes*, członek Instytutu (ur. 1815 r. w Berlinie); wróg zaciekły wszelkich nowych prądów w dziedzinie nauki ekonomicznej, pracownik niezmordowany, autor licznych prac statystycznych (*Traite de la Statistique*, liczne wydania i przekłady, Annuaire statist., 57 tomów i in.), ekonomicznych (Petit manuel d'economie politique, przełoż. na 13 różnych języków, *Progrès de la Science econ. depuis Adam Smith*, 2 tomy). Trwałą wartość posiadają jego prace z zakresu administracyi, zwłaszcza „Dictionnaire de l'administration [illegible]

Odpowiedzi Redakcyi.

X. Bajka dobra, drukować jednak nie możemy.

Panu I. J. Bl. z Ogrod. Zagadnienie to zajmowało ludzkość od najdawniejszych czasów. Czy może Pan zawierzyć swemu nauczycielowi, nie wiemy. Znaleźć Pan może bliższe wskazówki w tej kwestyi w jednej z następujących prac: Kothe: „Katechismus der Gedächtnisskunst,“ 6 wyd. 1887, Hörkens: „Leitfaden der Gedächtnisskunst,“ 1879, Mauersberger: „Mnemosyne“ 1885. — Gratacap: „Analyse des faits de mémoire“ (1867). U nas oryginalną metodę mnemotechniczną wynalazł Jaźwiński i generał Bem.

Panu L. B. Niestety, nie możemy drukować. Brak nam miejsca na takie epopeje.

Nigdy nie zapóźno. Wskazówki, o które szan. Panu chodzi, znaleźć można w *Poradniku dla samouków*, którego część I, obejmująca nauki przyrodnicze, ukaże się wkrótce w II wydaniu; cz. II zawiera historyę, literaturę i językoznawstwo; cz. III nauki społeczne; cz. IV (w druku) filozofię i pedagogikę.

Panu K. Petrykowskiemu w Wil. Pismo, o ile wiemy, wychodzić będzie nadal jako kwartalnik. Zapowiedziane w *Bibliotece* dzieła można będzie w miarę ich ukazywania się nabywać w księgarniach.

Panu P. Winczy w Litewszczyźnie. Serdecznie dziękujemy za słowa uznania i za łaskawą propozycyę, z której skorzystać nie możemy.

— Komitet zarządzający Kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowem, imienia J. Mianowskiego ma zaszczyt do powszechnej podać wiadomości, iż zmarły d. 9 Listopada 1891 r. Władysław Pepłowski uczynił Kasę Pomocy spadkobierczynią swego majątku, od którego dochody przeznaczył na popieranie wydawnictwa broszur i podręczników naukowych, zawierających najlepsze i najnowsze wskazówki rozwoju rolnictwa, rzemiosł i rękodzieł w kraju naszym, wyłożone jasno, popularnie, poprawnym językiem polskim, przystępnie dla ogółu rolników, rzemieślników i rękodzielników, zastosowane do potrzeb miejscowych, na czasie, tudzież na pomoc dla autorów rzeczonych broszur lub podręczników i osób na tem polu pracujących. W wykonaniu zapisu tego, na którego przyjęcie Kasa pomocy właściwe zezwolenie Władzy rządowej uzyskała, Komitet Zarządzający Kasą oświadcza gotowość wejścia w bliższy stosunek z pp. wydawcami lub autorami dzieł, odpowiadających wyżej wyłuszczonym określeniom i warunkom, celem zapewnienia dziełom tym lub wydawnictwom poparcia, jakieby się okazało potrzebnem i możliwem. Osoby, pragnące uzyskać dla swych dzieł czy nakładów pomoc pieniężną, proszone są o zgłaszanie się osobiste do biura Komitetu Kasy Pomocy w Warszawie, przy ulicy Niecałej Nr. 7 lub o nadsyłanie pod tymże adresem żądań, wyłuszczonych na piśmie.

Prezes Komitetu: *W. Holewiński.*

Członek Komitetu Sekretarz:
Feliks Kucharzewski.

Redaktor i wydawca **A. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою. Варшава, 18 Января 1901 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.